

ROK PRZYWRÓCONEJ AUTONOMII?

Rok akademicki otworzą 1 października rektorzy wybrani przez społeczność uczelni po raz pierwszy po długiej przerwie. Będzie to rok przywróconej autonomii i samorządności uczelni, a także rok zmagania z ogromnymi trudnościami finansowymi, z ograniczeniami, które mogą przynieść straty w rozwoju nauki, trudne do odrobienia przez dziesięciolecia. Od wielu tygodni wyższe uczelnie żyją problemami ustawy o szkolnictwie wyższym. Narosło wokół tej ustawy wiele przeszkód, trudności i niepokojów. Zdajemy sobie sprawę z tego, że od momentu złożenia numeru „Odgłosów” do druku mogą zapaść nowe decyzje, zmieniające sytuację. Mimo to właśnie ustawie poświęcamy dziś najwięcej miejsca, gdyż nie mamy wątpliwości, że dla uczelni jest to w tej chwili sprawa najważniejsza. A oto co na ten temat sądzą rektorzy łódzkich uczelni.

SAMORZĄDNOŚĆ UCZELNI

Prof. dr hab. JERZY WRÓBLEWSKI, rektor Uniwersytetu Łódzkiego: — Jest takie stare, mądre powiedzenie prawnicze, które mówi, że definicje są bardzo niebezpieczne. I nie bez racji. Definicja takiego terminu jak samorządność, jest bardzo trudna, gdyż powinna służyć praktycznemu określaniu pewnych koncepcji społeczno-politycznych. Dlatego też w tej chwili nie sililibym się na czysto teoretyczną definicję samorządności uczelni. Natomiast na pytanie, co rozumiem przez samorządność uczelni, odpowiem, że jest to określone w społecznym projekcie ustawy, w przepisach regulujących zasady organizacji i funkcjonowania uczelni.

Prof. dr hab. LESZEK WOŹNIAK, rektor Akademii Medycznej — Samorządna szkoła wyższa samodzielnie decyduje o swoich podstawowych sprawach, takich jak: dobór ciał kolegialnych, program nauczania i gospodarka finansowa. Samorządność to jednak nie zagospodarowywanie — używając przenośni — jednej z wysp archipelagu pod własną flagą. Przy podejmowaniu decyzji należy kierować się przede wszystkim ogólnonarodowymi racjami.

Dalszy ciąg na str. 3

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny odgłosy



NR 40 (1243)

ROK XXIV 4 PAŹDZIERNIKA 1981 R.

CENA 7 ZŁ

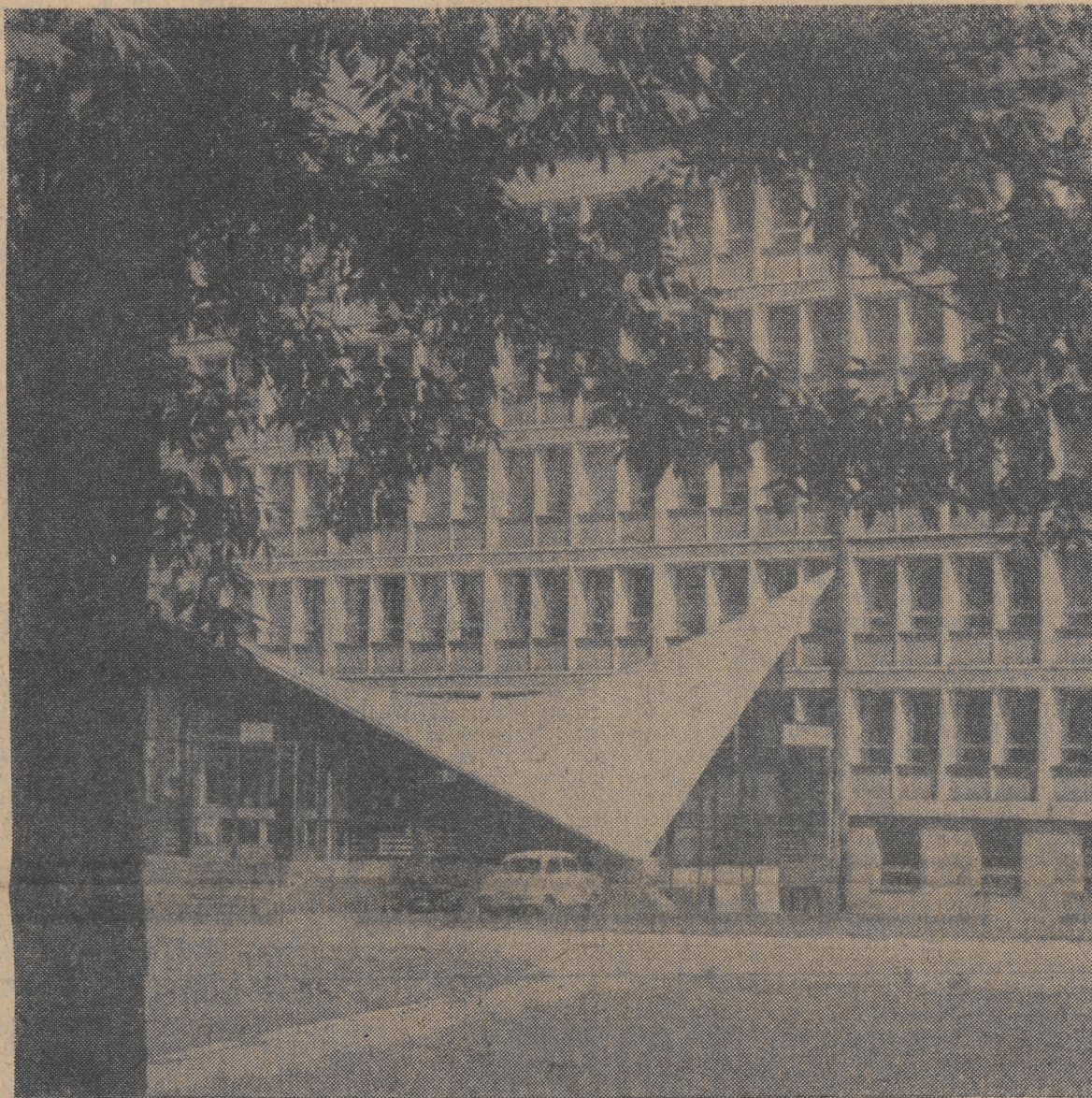


Foto: E. Kudaj

KONRAD
FREJDlich

PAŹDZIERNIK — MIESIĄC NADZIEI

Pierwszym promykiem nadziei, pierwszym sygnałem kruszącym okowy lodu, był język publicystyki kontrastujący z oficjalnym żargonem, w którym roilo się od psów łańcuchowych imperializmu, obcej agentury i kontrrewolucji. Przez szczelinę w żelaznej kurtynie wcisnęła się nieśmiało światowa literatura drukowana fragmentarycznie w periodykach oraz jazz zdobywający sobie powoli prawo obywatelstwa, co prawda drugiej kategorii. Impuls najważniejszy przyszedł ze wschodu. Była nim powieść Ilji Erenburga „Odwilż”, której tytuł przeniesiony został natychmiast na określenie sezonu politycznego zbliżającego się milowymi krokami. Kierunek rozwoju wydarzeń był już możliwy do przewidzenia, ich zakres i głębina pozostawały przedmiotem spekulacji.

W tym okresie powszechnych oczekiwań Łódź nie była enklawą izolowaną od reszty kraju. I tu obowiązywały dwa języki i porządkowane im systemy moralne. Język oficjalny niełatwo poddawał się retuszm czasu, czuwał nad tym urząd cenzorski, funkcjonariusze redakcyjni oraz podejrzliwy aparat partyjny. Łada błąd korektorski łatwo mógł być uznany za zbrodnicze działanie wroga klasowego. Z łamów łódzkich gazet więc oficjalna nuda.

W lutym 1956 roku Miejska Komisja Planowania Gospodarczego ogłosiła komunikat o wykonaniu terenowego planu gospodarczego za rok poprzedni. Tryskało z niego optymizmem we wszystkich wskaźnikach, ale w podsumowaniu komunikatu znalazł się zastanawiający pasus: „Zadania terenowego planu gospodarczego na 1955 roku zostały w zasadzie nomyślnie wykonane, tym niemniej występowały jeszcze braki i niedociągnięcia głównie na odcinku jakościowego wykonania planu i racjonalnej gospodar-

Dalszy ciąg na str. 5

PO PROSTU ALBIN SIWAK

25 września 1981 roku — sala konferencyjna Włóknianego Zakładu Przemysłu Bawełnianego im. I. Maja w Łodzi. Zewsząd śniadają uczestnicy imprezy, której oficjalny tytuł brzmi: „Spotkanie aktywów partyjnego Włóknianego z Albinem Siwakiem”.

W ławie kilka stoików — zaproszeni goście odnajdują swoje nazwiska na listach, aby po skrupulatnym sprawdzeniu — pobrać przepustki. Bez przepustki nikt się nie przemknie.

Godz. 9.15. Na sali — prócz aktywów włóknianego fabryk i instytucji — zaproszeni przedstawiciele komitetów miejskich i dzielnicowych, a także działacze związków branżowych — budowlanych i włóknianych. Przewodniczy i sekretarz KD PZPR Łódź-Włókniany, Mirosław Czesny.

Albin Siwak wchodzi na mównicę. Bezowy garnitur i różowa krawat. Krawat, plik kartek i okulary w dłoniach. Na wstępie dziękuje za zaproszenie i zapewnia:

— Będę chciał naprawdę w sposób szczerzy odpowiedzieć wam na to wszystko, co postawiliście już tutaj na tych kartkach, które mi doręczono, jak i na te pytania, które będziecie zadawać bezpośrednio z sali (...). Przypominam (że) byłem dokooptowany do Komitetu Centralnego w starym składzie na VI Plenum. Mam prawo pokusić się o ocenę byłego KC, jak i tego, który na Zjeździe został wybrany.

O WŁADZACH CENTRALNYCH

— Naprawdę jest duża pozytywna różnica (...). Otóż, były Komitet Cen-

tralny, w skład którego wchodziło 251 osób, to wchodziło tylko 29 robotników. Połowa tych 29 robotników to była (...) bez siły przebicia.

Po prostu nie zabierali ci towarzysze głosu, siedzieli jedną, dwie czy trzy kadencje, ale głosu nie zabierali. A więc nie muszę wam tłumaczyć, że było nas mało i nie było komu nawet nas słuchać, mówiąc szczerze. Ten Komitet Centralny jest inny. Na ten sam skład liczbowy jest 86 robotników, 30 żołnierzy i 30 osób — wojsko, milicja, służba bezpieczeństwa. I odpowiednie proporcje ludzi, że tak powiem, ze świata sztuki, kultury, nauki. Jest odwrotnie, niż było w poprzednim KC (...). Warszawę reprezentowało sześciu członków KC, owszem, tam był Łomnicki, aktor, tam był tow. Rybicki, rektor, tam była prasa, dziennikarze i — niestety — jeden w tym robotnik. Te proporcje się zmieniły, ja opieram osobiście na tym (opinii), że ten komitet jest inny. A utwierdziło mnie to w przekonaniu, że już II i III Plenum było bardzo mocne, to znaczy ludzie, którzy zapisali się do głosu, mam na myśli robotników, w

sposób zdecydowany, mocnie przypierał (...) bez dania oddechu do ściany kierownictwo partii, twierdząc, że na następnych plenach będą rozliczać, czego nie było w starym układzie KC. Więc to jest ten objaw bardzo pozytywny (...).

O DROŹDZACH W BIURZE

I parę zdań o Biurze Politycznym. Też jest inne, proszę towarzyszy: jest czterech robotników, mam na myśli siebie, towarzysza Łabędzkiego, Grzybową oraz Romanika ze Śląska. To jest też (postęp), to są te drożdże, na których rosną — że tak powiem — te sprawy w Biurze Politycznym. Przecież my jesteśmy w terenie. Bez przerwy (...) jestem codziennie między ludźmi. Nie wiem, czy z komunikatów znacie sprawę. Wczorajszy dzień: mam Pragę-Północ, Zarząd Główny Transportowców, na wieczór jeszcze trzecie spotkanie. Przedwczoraj Chorzów — jedno wielkie spotkanie, Sosnowiec i tak dalej. Często tak bywa, że wyjeżdżam po Biurze Politycznym — Biura są z reguły we wtorek. Teraz jest tak: zaczęliśmy od was, będzie

Dalszy ciąg na str. 4

CO MYŚLI „SOLIDAR- NOŚĆ”

Z licznych enuncjacji prasowych, z oświadczeń Biura Politycznego i Rady Ministrów, z gwałtownej kampanii publicystycznej wiemy coraz dokładniej, co myśli o „Solidarności” władza, za to coraz mniej wiemy jak myśli sama „Solidarność”. Czy pewne skrajne opinie i poglądy można utożsamiać z poglądami całego związku, zrzeszającego blisko dziesięć milionów ludzi, a więc większość pracujących w naszym kraju? Czy diabeł rzeczywiście jest taki straszny, jak go maluje choćby rzecznik prasowy rządu Jerzy Urban?

Odpowiedzi na te pytania, prawda, że tylko częściowe, mogą nam udzielić badania przeprowadzone przez Ośrodek Badań Społecznych

Dalszy ciąg na str. 7

dzisiaj Szczecin, jutro Środa Wielkopolska, sobota, niedziela — Wrocław. Dlaczego o tym mówię? Dlatego, że jak ja się nasłucham tych... żalów, tych rzeczy, a nierzadko popatrzę na czy u mężczyzny, bo i takie wypadki były (...), ja stawiam sprawy na Biurze Politycznym w taki sposób, że ja z nich nie chcę ustąpić, to po prostu ci ludzie przekonali mnie do końca, że ta sprawa tak, a nie inaczej wygląda. A więc to Biuro Polityczne jest (inne), bo nie tylko ja tak reprezentuję, ale i towarzysz Romanik i towarzysza Grzybową również, bardzo mocno stawiają te sprawy. Stąd można przypuszczać (...), że w tym Biurze nie jest tak, jak było w Biurze poprzednim. Oczywiście, bardzo często dochodzi do kontrowersji, dochodzi często do ostrych sporów, co nie znaczy, że Biuro jest rozłamane... ale po prostu często bywa tak, że my robotnicy mamy pogląd emocjonalny z jednej strony, wysłuchując ludzi w terenie, musimy wysłuchać drugą stronę, mam na myśli odpowiednie resorty, ministrów, którzy składają sprawozdania na ten temat. I wówczas polaryzuje się nasz pogląd, bardzo często jest, że również i my musimy ustąpić. Trzeba ustąpić dla dobra sprawy (...).

O SYTUACJI POLITYCZNEJ

Jest ona niewątpliwie bardzo ciężka i bardzo złożona. Jest taka prawda, że w kraju gdziekolwiek się nie pokażę (...) jest taka sytuacja, że do nas prosto z mostu się mówi, że nie czujemy kierownictwa partii, nie czujemy rządu, co wy w zasadzie tam robicie, dlaczego, że tak powiem,

1.

Piszę to w trakcie trwania II tury Zjazdu „Solidarności”, a właściwie, sądząc po zapowiedziach, dopiero na jej początku. Wszystko więc jeszcze może się zdarzyć, a sądząc znów po rozgrywce wokół sejmowej ustawy o samorządzie pracowniczym, po ostrych atakach na kierownictwo KKP, które podjęło kompromisowe ustalenia i po nie mniej ostrych replikach Lecha Wałęsy („Ktoś próbuje rozwalić Sejm, rozwalić rząd, zająć ich miejsca i być bardziej totalitarnym jak oni. Na takie chwytły to ja się nie dam zrobić”), Zjazd będzie bardzo gorący. W naszych subiektywnych odczuciach może tym bardziej gorący, że nie przywykliśmy do publicznego prowadzenia tego rodzaju sporów, że nie bardzo jeszcze potrafimy odczuwać z różnych wypowiedzi ich istotnego sensu od tego co jest w nich taktyka, grą wyborczą, ubezpieczaniem się w stosunku do wyborców z regionu, jednym zdaniem — nie umiemy jeszcze racjonalizować takiego zjawiska, ciągle egzotycznego w naszym życiu publicznym i politycznym; egzotycznego dla obserwatorów, ale i egzotycznego przecież również dla jego uczestników.

Towarzyszy więc Zjazdowi, co jest zrozumiałe, aura niepokoju. Przede wszystkim o to, że zwyciężą radykałowie reprezentujący twardą linię rozmów z władzami i że w związku z tym narastać mogą konflikty coraz groźniejsze. Ale przecież jest i nadzieja — na to, że zwycięży rozsądek, myślenie kategoriami narodu i państwa. Czyż w gruncie rzeczy nie na to stawiamy, czyż nie na to stawia także część „taksywnych” radykałów?

Co się tymczasem dzieje w kraju? Oto bardziej już zobiektywizowane informacje, zebrane przez Ośrodek Badania Opinii Publicznej przy Komitecie d.s. Radia i Telewizji (dane przetwarzam za „Życiem Warszawy”). Ponad 90 proc. badanych z reprezentatywnej próby ogółu dorosłej ludności podaje, że odczuwa stan niepokoju i napięcie społecznych, w tym więcej niż połowa określiła je jako bardzo duże. Wśród głównych źródeł niepokoju wymieniane są: zła zaopatrzenie (51 proc.); konflikty między władzą a „Solidarnością” (25 proc.); niewłaściwa polityka rządu (17 proc.); pogarszanie się sytuacji gospodarczej kraju (14 proc.); niewłaściwa polityka „Solidarności” (9 proc.); brak stabilizacji, nciad, anarchia (9 proc.); zła informacja w środkach masowego przekazu (9 proc.); groźba wojny i interwencji (8 proc.); brak dyscypliny, strajki (5 proc.).

53 proc. ankietowanych uważa, że problemy nasze będą rozwiązywane na drodze rozmów i porozumienia; 40 proc. — że w niedługim czasie dojdzie do próby siły i użycia przemocy (7 proc. nie ma zdania na ten temat).

Wśród tych, którzy spodziewają się konfrontacji, 51 proc. uważa, że przyczynia się do tego polityka władz, 12 proc. — że polityka „Solidarności”, 32 proc. — że obie strony w równym stopniu. (Brak zdania — 5 proc.).

Jeśli chodzi o opinie co do Zjazdu: na pytanie, czy jego uchwały będą ważne dla kraju i społeczeństwa 77 proc. odpowiedziało twierdząco, 6 proc. przecząco, 17 nie miało zdania; pytanie czy Zjazd i jego uchwały powiększą lub zmniejszą napięcie w kraju dało 43 proc. odpowiedzi mówiących o zwiększeniu napięcia,

zaś 20 proc. — o jego zmniejszeniu.

Na pytanie czy „Solidarność” wykracza poza sferę, którą powinna się zajmować, 55 proc. badanych odpowiedziało, iż „Solidarność” zajmuje się tym, czym powinna, jedna trzecia zaś, że wykracza poza tę sferę.

Formułowane obecnie cele i zadania „Solidarności” 48 proc. ankietowanych uważa za właściwe, 23 proc. — za zbyt radykalne, 4 proc. — za zbyt umiarkowane.

Wyniki tych badań dają wiele do myślenia, tym bardziej, że opinie zbierano w dniach 19 i 20 września, a więc między pierwszą a drugą turą Zjazdu. Znaczące wydają się zwłaszcza dane mówiące o głównych źródłach niepokoju (zła zaopatrzenie — 51 proc.), o bardzo dużym poczuciu zagrożenia (40 proc. uważa, że w niedługim czasie dojdzie do próby siły i użycia przemocy), o pro-„Solidarnościowym” nastawieniu (51 proc. obawiających się konfrontacji z władzą, że przyczynia się do niej przede wszystkim polityka rządu).

Obawa 43 proc. ankietowanych, że przebieg

co stare, znane, do czego ludzie nie chcą wracać. I z tego trzeba wyciągać wnioski.

Tak to chyba po prostu jest, czy to się komu podoba, czy nie. I żadne działania radykalne tego stanu nie zmieniają — tu potrzeba cierpliwości, mądra, wyrozumiałości, zdradzanego żony, która wie o zdradzie i złości linoścokoczka. Takie czasy, tak to się narobiło. Działania radykalne, ba, nawet najzwyczajniejsze nieporozumienia, mogą doprowadzić do nieszczęścia.

2.

Ostatnie wydarzenia w Kopalni „Szczygłowice”. Trzeba mieć zrzędną i wdział słońca w składzie porcelany, aby jak red. Bronikowski, któremu ciągle się wydaje, że nawet w tak podgrzanej atmosferze, w jakiej toczy się spór o wynagrodzenie za wolne soboty w górniczym, działać starą telewizyjną metodą, doprowadzoną do perfekcji w epoce propagandy sukcesu. Oto red. Bronikowski, na spółkę z przewodniczącym rady zakładowej związków

JERZY KATARASIŃSKI

MIĘDZY GÓRĄ I DOŁEM

Zjazdu i jego uchwały przyczynia się do zwiększenia napięcia — przy jednoczesnej przewadze akceptujących zakres działania „Solidarności” (55 proc.) oraz jej cele i zadania (48 proc.), uprawnienia chyba do wyciągnięcia wniosku, iż społeczeństwo skłonne jest przewidywać, podejrzewać, że po Zjeździe mogą wystąpić usztywnienia w polityce rządu, prowadzące do konfrontacji. Wniosek kolejny — także chyba uprawniony: konfrontacyjne, czy też odczytywane jako konfrontacyjne, powiększające poczucie zagrożenia, posunięcia władz, mogą doprowadzić przy istnieniu głównego źródła niepokoju (zaopatrzenie), do dalszej radykalizacji społeczeństwa i wywołać niebezpieczeństwo niekontrolowanych wybuchów niepokoju.

Strategia? Taktyka? Działania doraźne? — Po pierwsze linia dialogu i porozumienia. Po drugie — ? Nie wiem, nie jestem taktykiem. Po trzecie — poprawa zaopatrzenia za wszelką cenę. Innych wyjść nie ma.

I nie ma też co ukrywać — władza jest w trudniejszej sytuacji. Dlaczego? Powtórzę tu tezę, którą zapisałem dwa tygodnie temu. Z mniejszym lekiem, a w Niemczech kręgach społeczeństwa także z sympatią, przyjmowane są działania radykalnego nawet skrzydła „Solidarności”. Bo to jest coś nowego, a nowe niesie, owszem, i niebezpieczeństwa, ale i jakieś szanse, jakieś nadzieje: pienne może, ale jednak... Każdy natomiast gest identyfikowany jako nieprzychylny odnowie (słusznie, czy nieśłusznie nawet), przyjmowany jest z dużą niechęcią, jeśli nie z wrogością, bo przypomina to

branżowych, podstał był do relacji mającej przedstawiać pozytywny stosunek górników dołowych do preferencji płacowych dla pracujących w wolne soboty, kogoś kto z pracą na dole nie ma nic wspólnego. Drobiaz? Pewnie, że w stosunku do efektów jakie wywołał, jest to drobiaz, ale trzeba wiedzieć, że ludzie na takie drobiazgi są wyczuleni. Takie czasy. Reakcja górniczej braci była przesadna? Oczywiście, przesadna. Ale w tych czasach reakcje przesadne są czymś naturalnym, choć oczywiście nie można też wykluczyć, że poza tym są także celowo wywoływane. O tym wszystkim naraz trzeba jednak wiedzieć, i nie wysyłać lisa po kury, a słońca po porcelanę, bo ani kur, ani porcelany mieć nie będziemy, tylko zamieszanie i same straty. Tak jak w Kopalni „Szczygłowice”.

Oczywiście, z działalnością takich lisów i słońc nie musi mieć nic wspólnego ani partia jak taka, ani rząd jako taki. Mogą oni działać na własną rękę. Szkopuł jednak w tym że najczęściej to co robią „robą na partii i rządu rachunek. Niedawna wizyta w Łodzi tow. Wsiewołoda Wołczewa, poglądy jakie głosił on i jego sympatycy, muszą u każdego zdrowo myślącego człowieka wywołać osłupienie. Wywołują wzruszenie ramion. Czy słusznie? Czy słusznie przechodzi się obojętnie, lekceważąc, wobec działalności podważającej wiarygodność partii? Rzecz jasna, tow. Wołczew, tak jak każdy obywatel, ma prawo do mównicy tego, co uważa za stosowne. Czy jednak równie stosowne nie byłoby podjęcie

rzeczowej polemiki choćby na temat cenzury, jakimi dziełami dzieje socjalizmu w Polsce? Mammy przecież politologów, znawców najnowszej historii. Czy słusznie lekceważą oni działalność Katowickiego Forum? Sprawa jest chyba poważniejsza niż im się wydaje, warta ich merytorycznej oceny.

Tymczasem jednak zanika dyskusja, miast argumentów modniejsze stają się cichcem przekazywane pomówienia, owe znaczące napomknienia o kontaktach z tym czy owym, donosy i donosiki. Ostatnio — z innej już beczki — taki szeptany spór rozgorzał na tle wywiadu udzielonego „Głosowi Robotniczemu” przez Karola Stryjskiego, I sekretarza KD PZPR Łódź-Sródmieście. Poszły za tym wywiadem pomruki niezadowolenia, także z grona towarzyszy partyjnych, ale polemiki (znów — rzeczowej, uargumentowanej) na łamach partyjnej gazety z partyjnym sekretarzem jakoś nie widać. A myślę, i chyba się nie mylę, że zdrowsze byłoby dla partii, aby kwestie zasadnicze, takie jakie poruszył tow. Stryjski, dyskutowane były otwarcie, zażarcie i pryncypialnie. Mam szacunek dla Stryjskiego, choćby za odwagę, za stawianie problemów, a to już dużo. Chciałbym mieć więcej szacunku dla jego adwersarzy.

Cechą nieodłączną odnowionej partii powinna być moim zdaniem jej otwartość. W tym także na spory i kontrowersje. Partia winna jest społeczeństwu przekonanie, że nie działa w tajnych konwentykach, że nie ma czego ukrywać — także swojej drogi do własnej tożsamości. Tylko wtedy bowiem będzie zdolna do przekonywania nie przekonanych, tylko wtedy będzie mogła w pełni realizować linię społecznego porozumienia.

Idzie to jednak z trudem, działają jeszcze stare nawyki, urazy, opory, a i etykieta. Istnieje jeszcze gdzieś niedziedziczne przekonanie, że kiedy się coś przemilczy, to to przestanie istnieć, kiedy się coś zerwie, czy zamaże, to wymaże się to ze świadomości, że jak się udaje, że się coś zapomina, to rzeczywiście się zapomina. A także, że jak się nie ma argumentów, to można wstawić przymiotnik, że kiedy się nie podoba to, co jest proste, to wystarczy przekreślić, a jak jest coś za jasne, to wystarczy przyćmić.

Wszystko to jednak coraz mniej skuteczne zabiegi.

3.

Zepnijmy ten felieton klamrą. Optymistyczna. Bo jednak ludzie się ze sobą dogadują. Podczas ostatnich obrad Plenum KD PZPR tow. Bogdan Cegielski, I sekretarz KD-Bałuty, występując przeciw tendencji konfrontacyjnej, mówił o gestej sieci istniejących, realnych powiązań partii z innymi organizacjami społecznymi — łącznie z komórkami „Solidarności”. W zakładach pracy, w fabrykach, ludzi mających wspólne sprawy do załatwienia dogadują się. Zaczynają się dogadywać.

Nie jest wykluczone, że ci „na dole” dogadują się ze sobą szybciej, szczerzej, niż ci „na górze”. Także na górze „Solidarności”. Byłoby tylko, z lewa i z prawa nie doskakiwały lisy i słońce.

KRONIKA KULTURALNA

WE WTÓREK, 29 bm., odbył się uroczysty benefit WŁADYSŁAWA MALCZEWSKIEGO, wybitnego śpiewaka, solisty Teatru Wielkiego.

Artysta zadebiutował w 1944 roku na scenie teatru operowego we Wrocławiu. Występował na scenach Krakowa, Bydgoszczy, Poznania, Gdańska, a także za granicą: w ZSRR, NRD, Jugosławii, Bułgarii, RFN, Finlandii. Łódzkie melomani pamiętają wielkie kreacje Władysława Malczewskiego: Igora w „Kniazi Igorze” Borodina, Jana w „Tragedii o Janie i Herodzie” Twardowskiego, rolę tytulową w „Henryku VIII na łowach” Kurpińskiego, czy Don Kichota w „Człowieku z La Mancha” Leigha. W dniu swojego benefitu artysta wystąpił w partii Miecznika ze „Strasznego dworu” Stanisława Moniuszki. Rola ta była jedną z pierwszych, jakie wykonywał u progu swojej kariery Władysław Malczewski.

ZOFIA LITAK otrzymała I nagrodę ministra kultury i sztuki na ogólnopolskiej wystawie prezentowanej w Zachęcie pt. „Barwy morza”.

NA III Ogólnopolskim Konkursie Graficznym im. Józefa Giełnoka w Jeleniej Górze łódzki plastyk, Andrzej Łobodziński, zdobył jedną z dwóch drugich nagród a Paweł Ciechowski jedną z trzech trzecich nagród.

WE WTÓREK, 29 bm., po przerwie spowodowanej remontem i modernizacją budynków i urządzeń teatralnych, otworzył sezon Państwowy Teatr Lalek „Pinokio”, wystawiając „Bajki pana Bazarza” J. Stredy. Na widowisko to składają się trzy popularne bajki — o Bedepanku, o Czerwonym Kapturku i o Księżniczce na Ziarnku Grochu.

Spektakl reżyserował Wiesław Hejno, scenografię zaprojektował Jerzy Chodurki, muzykę skomponował Marek Jaszczak.

Z OKAZJI Międzynarodowego Dnia Muzyki, w dniu 1. 10. br., w Muzeum Historii Miasta Łodzi (godz. 18) odbędzie się mo-

nograficzny koncert kameralny poświęcony twórczości Beli Bartoka. Wykonawcami koncertu będą: Teresa May-Czyżowska (sopran), Jerzy Godziszewski (frotelplan) Zenon Hodor (skrzypce), Edward Przytycki (fortepian). Koncert poprowadzi Janusz Cegielski. Wstęp wolny.

3. 10. br. z kolei, w Sali Rokokowej PWSM (ul. Gdańska 32) odbędzie się koncert kameralny, którego wykonawcami będą soliści z NRD: B. Kremling (perkusja) i P. E. Rompf (organy). W programie: H. A. Grenzner, K. Stahmer, P. Rompf, R. Tagawa, S. Fink. Początek koncertu godz. 17. Wstęp wolny.

List członków Oddziału Łódzkiego ZLP

My, niżej podpisani pisarze łódzcy, członkowie Zarządu Oddziału ZLP w Łodzi po zapoznaniu się z pełnym tekstem apelu 35 intelektualistów polskich wyrażamy poparcie dla myśli zawartych w tym dokumencie i dla intencji, jakimi kierują się jego sygnatariusze. Podobnie jak autorzy apelu uważamy:

— że suwerenny i wolny naród polski winny jest rozwiązać swoje życiowe sprawy własnymi siłami;

— że sojusze z państwami socjalistycznymi stanowią niepożądaną warunek bytu naszej ojczyzny;

— że wszystkie konstruktywne siły skierować należy na rozwiązywanie konfliktów społecznych nie w klimacie wzajemnych inwektyw i pomówień, ale partnerskiego szacunku, poszanowania prawdy i w duchu wielkiego dziedzictwa politycznego i kulturalnego narodu polskiego.

Tylko zrozumienie tych fundamentalnych zasad i realizowanie ich w praktyce wyprowadzi nas może z głębokiego kryzysu, uszczęśliwi przed wielkim niebezpieczeństwem. Zaniedbajmy waśni, wykorzystajmy szanse odrodzenia narodowego.

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
ODDZIAŁU ŁÓDZKIEGO ZLP

Łódź, 25 września 1981 r.

TYDZIEŃ W POLITYCE

Zainteresowanie opinii międzynarodowej przeniosło się w ub. tygodniu do Nowego Yorku. Z dwóch powodów: przemówień na sesji Zgromadzenia Ogólnego „Z szefów dyplomacji” dwóch największych państw — A. Gromyki i A. Hejga oraz rozmów między nimi, co uznano za wznowienie dialogu radziecko-amerykańskiego. Dla nas — Polaków ważne jest i to, że z żywiołowością i uwagą przyjęto wystąpienie min. J. Czerwka, który przedstawił Organizacji Narodów Zjednoczonych stanowisko naszego kraju wobec aktualnych problemów międzynarodowych, wyraził zaniepokojenie niekorzystnym dla pokoju biegiem wydarzeń oraz przypomniał drogę wyjścia z obecnej sytuacji, pełnej zagrożeń. Potwierdził również gotowość Polski uczestniczenia we wszystkich pokojowych krokach, jakie powinny być niezwłocznie podjęte. Prowadzą one w kierunku dialogu i poszukiwań drog ograniczenia zbrojeń, likwidacji różnic tłałych się ognisk konfliktowych oraz rezygnacji z polityki z pozycji siły. Dziś bardziej niż kiedykolwiek potrzebna jest międzynarodowa współpraca.

Brzmi to może nieco sloganowo, ale taka przecież jest prawda: **po dziś jest nie tylko bezcenna wartość wszystkich ludzi na Ziemi, ale i przesłanka postępu we wszystkich dziedzinach działalności człowieka.** I dlatego polityka krajów socjalistycznych jest polityką pokoju, a obecnie oznacza to uniemożliwienie agresywnym kołom narzucanie przez nich linii działania oraz inicjowanie po-

kojowych rozwiązań. Idea odprężenia międzynarodowego sprawdziła się w latach siedemdziesiątych i trzeba jej skutecznie bronić. Taki też był sens wystąpienia na forum ONZ radzieckiego ministra spraw zagranicznych. Zwróćmy uwagę czytelników na niektóre wątki tego przemówienia.

XXVI Zjazd KPZR wysunął cały kompleks propozycji, dotyczących kluczowych problemów życia międzynarodowego. Obejmują one zarówno dziedzinę polityczną i militarną, jak i odnoszą się do poszczególnych rejonów świata. Klamrą spinającą te propozycje jest dążenie do szybkiego uzdrowienia sytuacji międzynarodowej.

Niestety, nadal utrzymuje się napięcie, a jednym z jego powodów są próby podejmowane przez niektóre koła zachodnie ingerowania w sprawy wewnętrzne krajów socjalistycznych. Takie próby podejmowane są w szczególności w stosunku do Polski. W związku z tym trzeba przypomnieć oświadczenie przywódców państw-stron Układu Warszawskiego: socjalistyczna Polska może liczyć na braterską solidarność i poparcie państw tego układu.

Związek Radziecki nie szuka rywalizacji ze Stanami Zjednoczonymi i opowiada się za dialogiem, w którym znalazłoby by możliwe do przyjęcia przez obie strony rozwiązania spornych problemów. „Nie prosimy — podkreślił min. Gromyko — lecz proponujemy taki dialog”. Związek Radziecki nie dąży do przewagi militarnej, ale też nie dopuści, aby ktoś taką przewagę nad nim uzyskał. Musi przecież obowiązywać zasada równości i jednakowego bezpieczeństwa. Tymczasem USA podjęły decyzję o przystąpieniu do produkcji broni neutronowej, co wprowadza wycięg zbrojeń na nową orbitę. ZSRR gotów jest prowadzić rozmowy na temat wszystkich aspektów ograniczenia wycięgu zbrojeń, a równocześnie proponuje ONZ przy-

jęcie deklaracji, uroczyste proklamujacej, że „państwa i politycy, którzy jako pierwsi uciekliby się do użycia broni nuklearnej popełniliby najcięższą zbrodnię przeciw ludzkości”.

W różnych rejonach świata mają miejsce sytuacje konfliktowe. Trzeba podjąć wysiłki, aby sytuacje te uregulować i zapobiegać powstawaniu nowych. Nie ma bowiem innej drogi poza rokowaniami i sięganiem po środki polityczne.

„Powinno się uczynić wszystko, aby pozostałe dwie dekady XX wieku ludzie przeżyli w warunkach pokoju i mogli przekroczyć próg trzeciego tysiąclecia naszej ery nie z lękiem o przyszłość cywilizacji, a z przekonaniem o nieograniczonych perspektywach jej rozwoju”. Te słowa min. Gromyki wyznaczają kierunek radzieckiej polityki zagranicznej.

W Nowym Yorku, jak wspomnieliśmy powyżej, po raz pierwszy od przejęcia prezydentury przez R. Reagana doszło do spotkania ministrów Gromyki i Haiga. Podjęto w rozmowach szeroki wachlarz problemów, a konkretnym ustaleniem jest decyzja o rozpoczęciu 30 listopada w Genewie radziecko-amerykańskich rokowań na temat ograniczenia pocisków nuklearnych średniego zasięgu. W ten sposób otwiera się płaszczyzna dialogu rozbrojeniowego, bardzo od miesięcy oczekiwana. Zwłoka wynikała z wahań i uników nowej administracji amerykańskiej. Rozmowy na pewno będą trudne, ale już sam fakt ich podjęcia otwierać będzie nadzieje. Na to wspólne uzgodnienie trzeba bowiem spojrzeć również jako na **powrót do rozmów największych mocarstw świata i przełamanie dotychczasowego impasu w dwustronnych stosunkach.**

W. SŁAWSKI

ogłosy

REDAGUJE KOLEGIUM: Jerzy Wawrzak (redaktor naczelny), Jerzy Katarasiński (z-ca redaktora naczelnego), Grażyna Szypowska (z-ca sekretarza redakcji) Konrad Frejlich oraz ZESPÓŁ: Ryszard Binkowski, Tadeusz Błażejowski, Małgorzata Golicka, Jacek Indelak, Eugeniusz Iwanicki (z-ca sekretarza redakcji), Ryszard Łucyszyn (fotoreporter), Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Marek Miller, Jerzy Rzymowski, Tomasz Soldenhoff.

OPRACOWANIE GRAFICZNE: Janusz Szymański-Glanc.

NADZÓR TECHNICZNY I KOREKTA: Krystyna Sardecka, Maria Grabska.

Dalszy ciąg ze str. 1

Prof. dr hab. JERZY KROH, rektor Politechniki Łódzkiej: — Jak wynika już z samego terminu, „samorządna instytucja” rządzi się sama. A zatem uczelnia, a w niej wydziały, instytuty i katedry, powinny decydować same o swoim losie. Ramy tej samodzielności określi ustawa o szkolnictwie wyższym i statut uczelni. Podobnie, jak w innych szkołach, w Politechnice Łódzkiej powołaliśmy już komisję statutową, która prowadzi zaawansowane prace. Zgodnie z naszymi założeniami, wydziały powinny być całkowicie odpowiedzialne za sprawy kształcenia i wychowania studentów i w większym niż dotychczas stopniu, włącznie w sprawy rozwoju nauki, instytutom natomiast chcemy pozostawić samodzielność w polityce finansowej i kadrowej. Podobnie katedrom.

SPOŁECZNY PROJEKT, USTAWY

o szkolnictwie wyższym jest odpowiedzialnością środowiska akademickiego na potrzebę dalszego zdemokratyzowania szkolnictwa wyższego i oparcia jego struktury oraz działalności na podstawach samorządu. Ciężar przygotowania projektu ustawy wzięła na swoje barki społeczna komisja kodyfikacyjna, powołana w listopadzie 1980 roku przez ministra nauki, szkolnictwa wyższego i techniki. Na czele komisji stanął prof. dr hab. Zbigniew Resich, a w jej składzie znaleźli się przedstawiciele naukowców, związków zawodowych, organizacji studenckich i resortu. Znaczący wkład w pracę komisji wnieśli reprezentanci Uniwersytetu Łódzkiego, a wśród nich obecny rektor, prof. J. Wróblewski. Już w styczniu br. gotowe były założenia projektu ustawy. Wersję tę rozesłano do około 400 adresatów: resortów, uczelni, instytucji i organizacji, których uwagi i opinie mogły mieć wpływ na ostateczny kształt projektu. Po uwzględnieniu poprawek opracowano kilka wersji projektu ustawy, które ponownie poddano społecznej konsultacji. Nad wersjami projektu dyskutowali również posłowie — członkowie sejmowej komisji nauki i postępu technicznego oraz podkomisji ds. szkolnictwa wyższego. Ostateczna wersja projektu, zwana powszechnie projektem Resicha, była gotowa 11 czerwca i w dniu tym została złożona w Ministerstwie Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki. Według zgodnej opinii przedstawicieli środowiska akademickiego projekt ten, aczkolwiek jeszcze niedoskonały, w sposób kompromisowy zaspokajał oczekiwania i aspiracje uczelni i stwarzał normatywne podstawy do powstania samorządu akademickiego.

ZMIANY W PROJEKCIE

I to o istotnym, merytorycznym znaczeniu, resort wprowadził podczas wakacji. Z konferencji prasowej z nowo mianowanym ministrem, prof. dr. hab. Jerzym Nawrockim, w Domu Dziennikarza w Warszawie w dniu 15 września, dziennikarze wyszli rozczarowani nie uzyskawszy odpowiedzi na pytanie, kto był autorem poprawek i jakie jest ich merytoryczne uzasadnienie. Z oświadczenia ministra J. Nawrockiego, opublikowanego przez PAP w dniu 21 września wynika, że minister wycofał się z większości zmian, potwierdzając odmienne stanowisko w następujących sprawach:

— minister powinien mieć prawo określenia górnego limitu przyjęć na studia, aby zapewnić racjonalną politykę zatrudnienia,

— uczelnie jako jednostki budżetowe nie mogą uzyskać prawa do wolnego kształtowania funduszu płac, będą natomiast kształtować zatrudnienie w ramach przyznanego funduszu płac,

— rektor powinien mieć prawo wezwania do rozwiązania zgromadzenia na terenie uczelni, jeśli narusza ono porządek publiczny, lub godzi w ustrój polityczny i społeczny państwa,

— nauczyciele akademicy powinni zachować prawo do 6-tygodniowego urlopu, a nie 3-tygodniowego, jak to przewidywał projekt ustawy,

— wyboru rektora powinien dokonywać bądź Senat, bądź Kolegium Elektorskie, bądź wspólnie Senat i Kolegium, co rozstrzygać winien statut Szkoły.

W tym samym dokumencie minister oświadcza, że do momentu uchwalenia przez Sejm ustawy o szkolnictwie wyższym, będzie postępował zgodnie z duchem i generalnymi kierunkami rozwiązań przyjętymi w projekcie ustawy. Tym samym uczelnie winny działać również w tych ramach, w szczególności w zakresie: planów i programów studiów, planowania badań naukowych oraz sprawach związanych z wewnętrznym funkcjonowaniem uczelni.

PROTEST

Zmiany w projekcie ustawy spowodowały protesty środowiska akademickiego. Zaniepokojone o los samorządności uczelni, a także trybem postępowania resortu, protestowali zgodnie rektorzy, organizacje

wali zgodnie rektorzy, organizacje partyjne i związkowe. Niezależne Zrzeszenie Studentów ogłosiło w kilku uczelniach kraju gotowość strajkową. Wzrosło napięcie i niepokój, zaczęły się mnożyć znaki zapytania co do intencji autorów zmian projektu.

Prof. dr JERZY WRÓBLEWSKI: — Wyobraźmy sobie, że projekt społeczny zostanie bez opóźnień przekazany Radzie Ministrów i po zakończeniu prac komisji kodyfikacyjnej — Sejmowi. W komisji kodyfikacyjnej dążyliśmy do tego, aby z nowym rokiem akademickim weszła w życie nowa ustawa, gdyż dotychczas obowiązująca absolutnie nie odpowiada potrzebom właściwego funkcjonowania uczelni. Zostaliśmy zaskoczeni zmianami wprowadzonymi do projektu społecznego. Nawet jeśli minister miałby jakieś zastrzeżenia do projektu, do czego ma oczywiście

Prof. dr JERZY KROH: — Rektorzy uczelni technicznych powołali już swoją Konferencję. Na spotkaniu w dniu 24 września w Warszawie wspólnie ustaliliśmy, że dyskusja nad ustawą powinna zostać niezwłocznie przeniesiona na forum komisji sejmowej. Podstawę dyskusji powinien stanowić projekt komisji kodyfikacyjnej z dnia 11 czerwca br. bez jakichkolwiek poprawek. Konferencja Rektorów postanowiła także przekazać komisjom sejmowym szczegółowe uwagi, wynikające ze specyfiki uczelni technicznych, które powinny zostać uwzględnione w projekcie ustawy. Zwróciliśmy się także z prośbą do komisji sejmowych o zbadanie, aby prawodawstwo dotyczące nauki tworzyło wraz z ustawą o szkolnictwie wyższym harmonijną całość.

roku akademickiego. Zgodnie z porozumieniami łódzkimi studenci otrzymają do wyboru grupy przedmiotów tzw. ogólnie humanizujących i języków obcych. Zdajemy sobie sprawę z tego, iż jedne z nich będą się cieszyły dużą frekwencją — inne mniejszą. W naszych warunkach przysporzy to pewnych trudności związanych z układaniem planów, zapewnieniem sal, itp. Spodziewamy się jednak, że sprawy te unormujemy do połowy października, bez zakłócania toku studiów.

Prof. dr LESZEK WOŹNIAK: — Studia medyczne są tak napięte i przeładowane, że każde zakłócenie roku akademickiego równa się organizacyjnemu dramatowi. Jeśli zdarzy się, że studenci sięgną po ostateczny przejaw protestu — strajk, sprawi to nam wszystkim ogromny kłopot. Jednakże ani ja osobiście, ani moi

położy kresu badaniom naukowym wymagającym specjalnych środków finansowych. Musimy się przecież liczyć z tym, że ilość prac umownych może się zmniejszyć w drastyczny sposób. Po prostu nie wiemy, czy samorządne przedsiębiorstwa będą chciały łożyć na naukę pieniądze. A jeśli tak, to czy nie ograniczą się do bardzo wąskich dziedzin badań. Stąd nasz generalny postulat: nie rezygnujemy w ogóle z prac umownych, jeśli będą na nie chetni, ale ustalimy właściwą proporcję między środkami, które budżet państwa przeznaczą na te badania, a badaniami podstawowymi bezumownymi. Inaczej, przy zmniejszeniu kwoty na badania umowne może dojść do drastycznych cięć na inne badania, do czego nie możemy dopuścić.

Prof. dr J. KROH: — Politechniki są silnie związane z zakładami prze-

ROK PRZYWRÓCONEJ AUTONOMII?



Prof. dr hab. JERZY WRÓBLEWSKI: Na pytanie, co rozumiem przez samorządność uczelni, odpowiem, że jest to określone w społecznym projekcie ustawy.



Prof. dr hab. LESZEK WOŹNIAK: Studia medyczne nie są tak napięte i przeładowane, że każde zakłócenie roku akademickiego równa się organizacyjnemu dramatowi.



Prof. dr hab. JERZY KROH: Zamierzamy rozwijać badania przy pomocy wszelkich dostępnych środków.

prawo, spodziewaliśmy się, że projekt społeczny pozostanie bez zmian, natomiast resort opracuje odrębny projekt ustawy i obydwaj projekty znajdą się w Sejmie. Środowisko akademickie protestuje zarówno przeciwko głębokim zmianom merytorycznym, jak i przeciwko samej procedurze postępowania. Wszyscy jesteśmy zgodni co do tego, iż każde odejście od z trudem wynegocjowanego projektu zagraża dążeniom do samorządności uczelni. Dlatego też protestujemy przeciwko całości poczyną, nie wchodząc w szczegóły. Nie możemy też podzielić stanowiska ministra w opublikowanym w środkach masowych przekazu oświadczeniu w dniu 21 września. Daliśmy temu wyraz m.in. w uchwale Senatu Uniwersytetu Łódzkiego z tego samego dnia. Senat Uniwersytetu Łódzkiego w pełni popiera stanowisko Konferencji Rektorów Uniwersytetów Polskich, domagając się bezzwłocznego skierowania do Sejmu społecznego projektu ustawy o szkolnictwie wyższym, ustalonego przez komisję kodyfikacyjną w wersji z dnia 11 czerwca br. Konferencja Rektorów Uniwersytetów Polskich, w skład której wchodzi nowo wybrani rektorzy, uznala potrzebę wymiany poglądów i wypracowanie wspólnego stanowiska w węzłowych zagadnieniach dotyczących uniwersytetów.

Prof. dr LESZEK WOŹNIAK: — Chociaż Akademii Medycznej podlegają bezpośrednio Ministerstwu Zdrowia, a tylko pośrednio Ministerstwu Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki, to jednak przygotowywana ustawa o szkolnictwie wyższym obejmuje wszystkie typy szkół. Stąd też uznaliśmy w Łodzi za konieczne wystosować 15 września do wszystkich Akademii Medycznych w kraju oraz do premiera, I sekretarza KC PZPR i ministrów pismo protestujące przeciwko anonimowemu wprowadzaniu do projektu istotnych zmian merytorycznych pod szyldem komisji społecznej, która o tych zmianach nie była poinformowana. Z inicjatywą wystosowania protestu wystąpiły niezależnie od siebie KU PZPR, „Solidarność”, pracownicy naukowcy i studenci. Podobnie jak rektorzy Uniwersytetów, nowo wybrani rektorzy Akademii Medycznych odczuwają potrzebę wymiany poglądów i opinii, a także wspólnego działania w istotnych dla szkolnictwa medycznego sprawach. Planujemy w niedługim czasie spotkanie w Łodzi rektorów Akademii Medycznych z całego kraju.

Samorządność szkoły wyższej wyraża się w zarządzaniu szkołą przez jej społeczność, która realizuje swoje uprawnienia przez wybór organów szkoły, sprawowanie kontroli nad ich działalnością, wyrażanie opinii i poglądów w istotnych sprawach szkoły. Samorządność szkoły służy realizacji jej powołania, którym jest poszukiwanie prawdy, wartości naukowych i artystycznych, kształcenie i wychowanie studentów zgodnie z ideałami humanizmu i sprawiedliwości na świadomych obywateli socjalistycznego państwa. Samorządność szkoły wyższej wyraża się w oddaniu jej organom kompetencji w sprawach badań naukowych, kształcenia studentów, rozwijania funkcji kulturotwórczych i więzi z gospodarką narodową, kształtowania warunków pracy społeczności akademickiej i przesłanek jej konsolidacji wokół celów, zadań szkoły wyższej.

(Społeczny projekt ustawy o szkolnictwie wyższym)

ZGODNIE Z DUCHEM USTAWY

Przygotowania do nowego roku akademickiego czynione są zgodnie z duchem nowej ustawy, mimo że formalnie nie została jeszcze uchwalona. Konferencja Rektorów Uniwersytetów domagała się natychmiastowego przekazania przez ministra szkołom wyższym uprawnień, do których upoważnia obowiązująca ustawa o szkolnictwie wyższym z dnia 5 listopada 1958 roku. Rektorzy uniwersytetów uznali, że kompetencje takie otrzymali przez oświadczenie ministra nauki, szkolnictwa wyższego i techniki z 19 września stwierdzające, że „będzie działał zgodnie z duchem i generalnymi kierunkami rozwiązań przyjętymi w projekcie ustawy”. W Akademii Medycznej minister zdrowia przekazał także rektorom prawo do tworzenia katedr, klinik i instytutów.

Prof. dr LESZEK WOŹNIAK: — Poszliśmy jeszcze krok dalej. Na naradzie z ministrem zdrowia ustaliliśmy iż mimo że dotychczasowa ustawa obowiązuje, i z punktu widzenia prawnego jest nie do podważenia, to jednak wszystkie punkty porozumień łódzkich, które ją równolegle zmieniają, są aktami wyższej rangi i mamy prawo dokonywać wszelkich zmian zgodnie z nimi. W ten sposób zmieniliśmy już skład organów przedstawicielskich uczelni. Rady Wydziałów liczą po 1/3 reprezentantów samodzielną pracowników nauki, młodych pracowników nauki i studentów. Do czasu wejścia w życie ustawy i nowego statutu szkoły, rozwiązaliśmy Senat i powołaliśmy 26-osobowe Kolegium. Przytaliśmy też do zmian programowych, m.in. zapewniamy studentom prawo wyboru tzw. przedmiotów humanistycznych.

Prof. dr J. WRÓBLEWSKI: — Mimo dużych kłopotów natury organizacyjnej staramy się przygotować, w miarę sprawnie, do rozpoczęcia

koledzy dziekanami nie czujemy się odpowiedzialni za ewentualne zakłócenia pracy szkoły. Nie będziemy też winą obciążać młodzieży. Będziemy się natomiast starać aby proces dydaktyczny ucierpiał jak najmniej i aby w miarę naszych możliwości ograniczyć burzliwość protestów i łagodzić ich następstwa. Mam jednak nadzieję, że już nigdy nie będzie potrzeby sięgać po tak drastyczną formę nacisku, jaką jest strajk na wyższej uczelni.

ROZWÓJ NAUKI

Jest dziś ściśle związany z finansowaniem badań i samodzielną gospodarką uczelni finansami.

Prof. dr J. WRÓBLEWSKI: — Jako członkowie komisji kodyfikacyjnej, zdawaliśmy sobie sprawę z tego, iż w projekcie ustawy o szkolnictwie wyższym należy zawrzeć zasady gwarantujące samodzielność uczelni. Natomiast wszelkie sprawy szczegółowe powinny być zawarte w osobnej ustawie o finansowaniu szkół wyższych, lub o finansowaniu nauki. Tymczasem propozycje ministra stwarzają jedynie pozory samodzielności finansowej. Dla przykładu: przyznają uczelniom prawo decydowania o zatrudnieniu, odmawiając jednocześnie prawa decydowania o funduszu płac. Uważamy, że struktura budżetu szkoły powinna być określona przez uczelnię zgodnie z jej statutem. Konferencja Rektorów Uniwersytetów domaga się również zwiększenia udziału przedstawicieli szkół wyższych w pracach nad projektem ustawy o finansowaniu szkół wyższych. Trzeba sobie otwarcie powiedzieć, że sytuacja w dziedzinie finansowej jest zdecydowanie zła. Podzielać dość szeroko lansowany w środowisku akademickim pogląd, że hasło samofinansowania nauki poprzez uczestnictwo w pracach umownych było bardzo ryzykowne i doprowadzało często do efektów poronnych, opóźniających rozwój nauki.

Dzisiaj trzeba zadać sobie pytanie, co czynić, aby mimo wszystko nie

mysłowymi poprzez różnego typu badania i prace umowne, niż uczelnie innego typu. Reforma gospodarcza ustawy przemysłu i uczelnie w zupełnie odmiennej sytuacji, w której musimy się umieć znaleźć. Jednocześnie właśnie uczelnie techniczne są w lepszej sytuacji niż inne, gdyż same mogą podjąć produkcję, np. odczynników chemicznych, deficytowych części mechanicznych. Zdobyte w ten sposób fundusze będziemy w częściej przekazywać na badania podstawowe. Zamierzamy je bowiem rozwijać przy pomocy wszelkich dostępnych środków. Mamy wiele umów z uczelniami zagranicznymi i bezpośrednich kontaktów naukowych, które będziemy podtrzymywać.

Prof. dr LESZEK WOŹNIAK: — Jestem zdania, że należałoby zwiększyć uprawnienia szkoły w zakresie dysponowania budżetem. Sądzę też, że różne duże instytucje i przedsiębiorstwa gospodarki narodowej, które mają wydzielone pewne fundusze na rozwój nauki, powinny przekazywać te dotacje do dyspozycji kompetentnego gremium, np. kolegium rektorów. Z tego funduszu mogłyby czerpać poszczególne uczelnie na badania naukowe, kupując m.in. niezbędną aparaturę czy materiały niezbędne do badań. W obecnych, bardzo trudnych warunkach finansowych, w uczelniach typu medycznego, podejmowanie badań naukowych pozostawiamy często inwencji naszych pracowników. Osobiście będę się starał pobudzać i kierować te inicjatywy, gdyż pozwolą one na zdobycie aparatury, zapewnią skromne stypendia dla asystentów i zachowanie kontaktów z uczelniami zagranicznymi.

* * *

Sposób postępowania przyjęty przez naszych rozmówców jak i przez ogólnopolskie konferencje rektorów jest zgodny. Nie ustawa w działaniach zmierzających do uchwalenia ustawy zgodnej z potrzebami i oczekiwaniami środowiska akademickiego. Do czasu formalnego uchwalenia ustawy działaliśmy zgodnie z jej duchem i kierunkami. Jednocześnie, na przekór wszelkim trudnościom, utrzymywać w uczelniach normalny rytm pracy naukowej i dydaktycznej.

Przygotowała do druku:
MAŁGORZATA GOLICKA

Fot. R. Łucyszyn

Dalszy ciąg ze str. 1

tutaj się nas obija, opłuwa, ponieważ i nikt nam nie podaje ręki, nikt nas nie chroni. Mam tutaj na myśli nie tylko członków partii, mam na myśli tak samo cały ruch branżowy, wszystkich branżowców, którzy w swoich zakładach przeżywają nierzadko bardzo ciężkie chwile (...). Na tym tle parę zdań. Tow. Kania na III Plenum, mówiąc o ciężkiej, złożonej sytuacji, powiedział, że jeżeli zajdzie potrzeba, do robienia porządku w tym kraju, do utrzymania socjalizmu, to nie będziemy się wahać użyć wszelkich środków (...). I my w Biurze Politycznym również jesteśmy tego zdania, całe Biuro, z tym, że tak długo damy się opłuwać i poniewierać, bo przecież chodzi nam o robotników, tych w „Solidarności”, chodzi nam o takich samych ludzi, jak i my Wier-

lityczny. Nie muszę towarzyszący przypominać tutaj, że była mowa, jak wiecie, jak wyeliminować ze statutu kierowniczą rolę partii, że było „Postanie”, że nie mówilo się o sprawach związkowych na tym zjeździe, a o sprawach politycznych. Jest to temat znany wam poprzez środki masowego przekazu. Ja po prostu przypominam, że tak daleko poszło to kierownictwo, że rozmawianie z nim jest już ciężkie, a można rzec (że) nie da się z nim rozmawiać. Dlatego chcemy przekonać, powtarzam jeszcze raz, związek „Solidarności”, kierownictwo, wątpimy, czy uda nam się przekonać. I gdybyśmy byli przekonani, że ludzie — a ludzie rozumieją, codziennie przybywa w ruchu branżowym, we wszystkich branżowych (związkach) bardzo dużo ludzi — jeżeli byśmy byli przekonani, że społeczeństwo w dużej mierze podziela

sobie sprawę z tego, (...) że wielu naszych działaczy, na funkcjach partyjnych, wiele osób w kadry kierowniczej, bo od nich zależy ten porządek, również ta dyscyplina, to wszystko. Oni po prostu — panu Bogu świadczą i diabłu ogarek. Ja mogę wam przytoczyć nazwiska konkretnie, sekretarzy, dyrektorów zakładów. Ci ludzie, którzy powinni odpowiadać z racji powierzenia im obowiązków. Cały szereg prokuratorów trzeba wzywać, prosić was, na rozmowę i mówić im: słuchaj, człowieku, co się dzieje w twoim mieście, kto ma ten porządek robić? Kania ma przyjechać? Jaruzelski czy członek Biura? Tobie dała Polska Ludowa prawo do rąk i zgodnie z tym prawem, rządź w tym mieście. Nie może być takich spraw sądowych, jak w Polsce są, że członek „Solidarności” za to samo mordobicie jest uniewinniony, a członek partii

nie pisze w ogóle, ja mam jakieś tam kartki, parę kartek, jak idę na mównicę. Ja się źle czuję, jak ja czytam. Ja mam taki charakter (że) lubię patrzeć na salę, wtedy mi najlepiej idzie, wystąpienie. Jak ja mam czytać, to ja się po prostu gubię. To jest jeden temat, drugi: nikt nigdy, oświadczamy wam z całą odpowiedzialnością, nikt nigdy, na przestrzeni bardzo długiej mojej działalności nie napisał mi ani jednego zdania. Są to sprawy, które na własny nos, na własne wyczucie stawiam. Bardzo często potykałem się na tych sprawach, gdyż mówiąc szczerze, mam szkołę podstawową, 31 lat pracy, myślałem kategoriami swojego kombinatu i swojej organizacji politycznej, a przyszło mi rozmawiać z setkami ludźmi, podejmować decyzje w skali krajowej (...).

J SWOICH FAWORYTACH

— „Jaki jest mój stosunek do Forum Katowickiego, grupy „Grunwald”, tygodnika „Rzeczywistość”? Proszę towarzyszy, ja już tutaj powiedziałem przed chwilą, że ja bym nie trząsał tak majtkami, jak trząsał Gerard Gabrys, który brał udział w „Forum”. I poparłem te „Forum” w pewnej części. Powiadam, w pewnej części. Faktycznie „Forum” nie w pełni ma również rację. Nie w pełni, ale jest to jedyne forum w kraju — w przeciwieństwie do toruńskiego i innych — gdzie można tym towarzyszom przyznać wiele racji, gdyż naprawdę nimi kierowały obawy o partię, o prawdziwą linię tej partii i ta linia mi osobiście odpowiadała. Mojemu charakterowi i mojemu kierunkowi. Dlatego ja nie bałem się: na XI Plenum poparłem to „Forum” (...). „Grunwald” — przyznam wam się szczerze, że ani czasu nie miałem, ani dokładnie nie jestem zorientowany, do czego „Grunwald” zmierza, na jakich zasadach, jacy to są ludzie. Nie to, że bym obawiał się zahaczać ten temat, ale autentycznie nie miałem, ani czasu, ani możliwości (...). Tygodnik „Rzeczywistość”. Otóż, ja mam zaufanie do „Zołnierza Wolności”, do tygodnika „Rzeczywistość”. I w bardzo małym stopniu do prasy partyjnej, jak „Trybuna Ludu”. Możecie towarzysze się zdziwić, ale jasno stawiam sprawę. Tygodnik „Rzeczywistość” — moim zdaniem — nawiązuje do bardzo istotnych rzeczy, dziejących się w kraju i w partii. Są (to) ludzie uczciwi, członkowie partii. Możecie odmiennie myśleć, ja po prostu zaprezentowałem swój pogląd na tę gazetę (...).

O KONTREWOLUCJONISTACH W „SOLIDARNOSCI”

— „Czy mogę personalnie wskazać reakcjonistów, anarchistów i kontrewolucjonistów”? O, to już bym tutaj nie był, to bym musiał na miejscu Kiszczaka być dzisiaj w Warszawie, po prostu. To jest trudna sprawa, proszę towarzyszy, strzeżcie się dzisiaj. Tego robić nie wolno, trzeba być w pełni przekonany i posiadać materiały, żeby o kimkolwiek powiedzieć, że to reakcjonista, przeciwnik, czy człowiek, który działa jako kontrewolucjonista w kraju. Ja mogę wam powiedzieć z całą odpowiedzialnością, że jest ogromna grupa ludzi w kierownictwie „Solidarności”, o czym „Solidarności” właśnie nie wie, że posiadają, połowa tych ludzi posiada konta osobiste na waluty zagraniczne, to tak jak tow. Jaruzelski wczoraj powiedział, wiemy to i że źródeł zagranicznych i wewnętrznych. Wiemy, że ci ludzie wyjeżdżają na paszporty, które raz otrzymali, a powinni zwrócić i nie chcą zwrócić, jeżdżą i mają kontakty nie z zagranicą, a wywiadowcy. Wiemy o tym, że Zygmunt Maria Przetakiewicz założył filię w Nowym Jorku, co nie jest wcale filią „Solidarności”, bo tam im wcale żaden związek tego typu nie potrzebny. Mogę wam przypomnieć, jak tam się Reagan rozliczył ze związkami lotników, wiecie sami. Jest to po prostu jedna z filii wywiadu, jak rozpracowywać, jak robić politykę w kraju. Są to ludzie spod znaku KOR-u, KPN-u i innych (...).

O DROBNOMIESZCZAŃSTWIE

— „Czy istnieje związek, moim zdaniem, między kolejnymi kryzysami trzydziestolecia a rozwojem drobnomieszczaństwa jako grupy czy warstwy społecznej”? (...) Ludzie, którzy mają prywatne rzemiosło, warsztat, sklepy, różnego rodzaju wytwórnie, warsztaty. Są to ludzie zainteresowani, żeby nie było takiego ustroju w tym kraju. Większość tych ludzi jest zainteresowana, gdyż oni swój rozwój widzą w innej atmosferze politycznej. Nie można tego odnieść — na przykład — jak ktoś ma stragan z warzywem, że jest to człowiek, który od razu przorientował się na Zachód, ale ja wam powiem, porozmawiajcie z ogrodnikami, którzy ma 15 czy 20 mi-

lionów na książeczce, bo takich jest bardzo dużo, taką statystykę posiadamy. Porozmawiajcie z nim (...), każde dziecko u niego ma luksusowy samochód. Czy jemu na tym ustroju zależy? Ci ludzie się bardzo negatywnie wyrażają. Jest to sprawa po prostu, że pieniądź przeobraził sposób myślenia wielu ludzi (...).

O KULTURZE I ROZRYWCE

— „Jak widzę rolę prowadzonej polityki kulturalnej oraz środków masowego przekazu na kształtowanie postaw drobnomieszczańskich”? Dziś, w dzisiejszym czasie, proszę towarzyszy, trudno jest mówić, że kształtuje się coś w sferze kultury. Dziś idą sprawy polityczne, przede wszystkim. Każdy wypycha tematy przede wszystkim polityczne. Już na początku wam powiedziałem, jak to w telewizji jest o sprawach branżowego ruchu, politycznego, że jest to gdzieś w trzecim dzienniku, a jak w gazecie, to drobnym maczkiem w takim prawym rogu na samym dole. Jest to problem w tej chwili polityczny, jeżeli mówimy o kulturze, to poza filmami, które mają ugruntowaną (...) charakterystykę. Wiecie, również nie chcę was przekonywać, co w rozrywce. Jest poza cenzurą, poza kontrolą, śpiewa się, deklamuje, mówi, co chce o człowieku, o kierownictwie, o partii o rządzie i tak dalej.

O POSTAWIE MŁODZIEŻY

— „Czy podzielam pogląd, że mający aktualnie miejsce masowy exodus młodego pokolenia na Zachód w celu dorobienia się za wszelką cenę jest efektem drobnomieszczańskiego charakteru polskiej drogi do socjalizmu”? Nie tylko, proszę towarzyszy, to jest bardzo mały watek (...). Natomiast jestem przekonany, że ponieważ w kraju nie ma porządku, młodzież nie widzi przyszłości w jasnych kolorach. Część młodzieży nie chce podjąć tej walki, ucieka z tego kraju, po prostu, bojąc się tego, co ich czeka (...).

O STRUKTURZE KLASOWEJ

— „Jak towarzysz widzi strukturę klasową polskiego społeczeństwa po 36 latach istnienia Polski Ludowej”? Rozbita, roztrzęsiona w tej chwili, która nie może się pogodzić, nie ma wspólnego nurtu. I to jest prawda, widzicie to sami, nie muszę was o tym przekonywać. Jest to również wielka sprawa: wprowadzenie w jeden tok myślenia naszego społeczeństwa — to się nie udaje i nie uda nam zrobić (...).

O ALFIE I OMEDE

— Pozwólcie, że jeszcze raz wam przypomnę, kogo wście tu zaprosili. Szereg pytań jest tego typu, że ja wątpię, czy nawet tow. Kubiak, który kilka fakultetów ma, włącznie z tymi na Zachodzie, umiałby wam odpowiedzieć, a więc nie żądajcie ode mnie, że bym był aż takim alfa i omegą i odpowiadał na wszystkie pytania. Ja mogę, zrobię to, wezmę część spraw i przeniosę je na górę, na Biuro Polityczne, natomiast chyba nie wierzyć w to, żeby w jednej osobie, skumulować taką mądrość że Siwak, skoro członek Biura, to on już musi wszystko, znać receptę, udzielić odpowiedzi (...).

O WICEPREMIERZE RAKOWSKIM

— „Jak tow. ocenia ostatnie wystąpienie wicepremiera Rakowskiego? Kiedys mieliście inne stanowisko, co do niego”? Towarzysze, ja chcę tutaj krótko się określić. Powiedziałem to i na Zjeździe, i nie boję się powtórzyć teraz: jest to człowiek zdolny, mądry, idący szalenie zrywkami. Trudno ustalić jego linię. Jaka on linia w zasadzie idzie. Ja osobiście mówię o sobie. Uważam, że w ostatnich tygodniach udało mu się poządnąć w uszy wodę, stąd bardzo mocno poszedł w jednym kierunku. Tak bym to, po prostu, określił.

O ZABEZPIECZENIU TYŁÓW

— „Jaki jest stosunek tow. Siwaka do „listu trzydziestu pięciu”? Macie na myśli wczorajszą „Trybunę Ludu”, tak? Proszę towarzyszy, ja dałem do prasy swoją odpowiedź, że ja się zgadzam z treścią listu, a konkretnie tam z kilkoma zdaniami, że po prostu my musimy zaapelować do rozsądku wszystkich ludzi. Nie można, że tak powiem, że ktoś reprezentuje inny punkt widzenia, to łamać jego charakter czy jego punkt widzenia, ale na koniec również napisałem, że pod tym listem podpisali się ludzie, którzy w tej chwili chcą sobie tylko zabezpieczyć. Ja nie wierzę, że Holubek, Bratkowski i inni z czystego serca podpisali ten list (...).

PO PROSTU ALBIN SIWAK

rzymy głęboko, że to są nie inni ludzie (...), których (...), ometano, opętano wieloma sprawami, których oni do końca nie rozumieją. Ze jest rzeczą rządu, kierownictwa partii, odpowiednich resortów opublikować wiele rzeczy, żeby tym ludziom się wyjaśniło, kto rządzi tą „Solidarnością”, dlaczego idzie (ona) w tym kierunku. I, proszę towarzyszy, takie decyzje na Biurze Politycznym zapady.

O WALCE ZE SPEKULACJĄ?

— Zapadła decyzja, że na Sejmie, który wczoraj i dzisiaj się odbywa, że na tym Sejmie będzie ustawa o spekulacji. Powiecie, co ma to do tej dużej polityki? Ma, bo jeżeli jest człowiek głodny, to jest człowiek zły. Znacze, prawda, sprawa kartek, niepokrycia na te kartki mięsa. Jest to problem straszny (...). Jest w tej chwili taka sytuacja, w kraju, że jeżdżą trójki „Solidarności” do gospodarstw rolnych, zabraniając w sposób kategoryczny sprzedaż mięsa (...), po polskich wsiach krąży trójki, które zabraniają, które malują znaki na chałupach. Rolnicy się denerwują, nie wiedząc, po co to, że tak powiem, znaki, nie wiedząc, czy to w nocy wyrzuci nas przyjdą, czy spalić, jeżdżą, proszą o ochronę u władz i tak dalej. Jest drugi temat: niepłacenie podatku gruntowego... U sołtysa zasiada działacz „Solidarności”, zapisuje na listę nazwisko, proszę was, zabrania płacenia. Jest to temat bardzo mocny. Jest sprawa trzecia, związana z tym mięsem i zaopatrzeniem. Temat właśnie handlu spekulacją. I to stanie dzisiaj na Sejmie. Chodzi o ustawę, która wyposaży nasz aparat ścigania i wymiaru sprawiedliwości w odpowiedni oręż. Dzisiaj jest taka sytuacja (...), że złapany handlarz, który ma w bagażniku świniaka czy parę świńiaków, można go ukarać za zakłócenie porządku publicznego, a nie za żaden handel. I to jest sprawa jednej doby aresztu i powiedzmy — tysiąca czy półtora tysiąca złotych grzywny. Rozumiemy doskonale, że nie jest to problem, że karą się coś rozwiąże, że ustawa się rozwiąże coś. (...) Liczymy, że w jakimś stopniu położy kres (spekulacji?) ta ustawa? Ale nie wierzymy, żeby ta ustawa położyła dosłownie kres. Znamy lata okupacji, proszę towarzyszy, że Hitler... plakaty pisały, za zabicię świniaka strzelało się do Polaków. I co, nie było handlu? Też był handel, proszę towarzyszy. Też ta ustawa nie ureguluje, że tak powiem, rynek. Jest to sprawa już po Nowym Roku reformy. Odrębny temat.

O ROBIENIU PORZĄDKU

— (...) tow. Kania powiedział, że będziemy bronić ustroju, socjalizmu, mocno i zdecydowanie (...). Nie ustępujemy jako kierownictwo Biura i nie ustępujemy rząd, proszę towarzyszy, tylko chodzi o to, że jesteśmy również pod pretekstem roku 70, gdzie się polala krew robotnicza na Wybrzeżu, że późniejsze wypadki przypominają, że nie jest to sprawa taka łatwa... I dlatego tak długo chcemy wyciągać rękę do „Solidarności”. Mam na myśli, żebyśmy się dobrze zrozumieli, do „Solidarności” — do klasy robotniczej, a nie do kierownictwa „Solidarności”, które poszło skrajnie na prawo i chce przeorientować swój związek na związek po-

pogląd kierownictwa partii i rządu, to inaczej decyzje byłyby mocniejsze. Dzisiaj, niestety, dlatego, że nie mamy prasy, która by pisała obiektywnie, środków masowego przekazu, które by informowały obiektywnie, że nie mamy tych ludzi za sobą, jest trudno, że tak powiem, być przekonany, że kim to społeczeństwo tak naprawdę jest.

O PRASIE I DZIENNIKARZACH

To też odrębny problem (...), że nie mamy prasy całej za sobą. Chcę jednoznacznie powiedzieć, że są dziennikarze, którzy robią wszystko, postawili na jedną szalę i są z nami. Są to oddani ludzie, którym należy podziękować za postawę, za odwagę. Ale jest bardzo dużo dziennikarzy, którzy robią wszystko, co mogą, aby storpedować, to co partia i rząd wnoszą nowego, nawet to, co związki branżowe, z czym wychodzą. Jeżeli ma się ukazać, to niech się ukazuje o 24 z minutami, byle nie w głównym „Dzienniku”, byle nie grubymi literami na pierwszej stronie, gdzieś tam maleńkimi, drobnymi. Jest to sprawa nie gazety, nie papieru, ale postaw ludzkich (...).

O KONFRONTACJI W PRAKTYCE

— Następne pytanie w związku z powyższym cytatem: „Tym samym jednostronnie zerwane zostały porozumienia, zawarte w Gdańsku, Szczecinie i Jastrzębiu. Zastąpiono je programem politycznym opozycji, który godzi w żywotne interesy narodu i państwa polskiego. Oznacza kierunek na konfrontację, grożącą rozlewem krwi”. Oświadczenie Biura Politycznego z 18 bm. „Prosimy o wyjaśnienie, jak w praktyce miałyby wyglądać te konfrontacje? Rozlew krwi — czyje? — krwi? Jakimi siłami?” Jest to sprawa nieomal techniczna. Pytanie: jak ta krew się będzie lała? Towarzysze, chyba nie ma człowieka na sali, który chciałby nawet sobie wyobrazić, jaka jest ta krew. Ja też staram się nawet nie myśleć i nie wyobrażać. Ja mogę po prostu tak, jak marksista mówią: daj Boże, żeby do tego nigdy w życiu nie doszło, do przelania jakiegokolwiek kropli krwi — to jest podstawowa sprawa. Ale jak to powinno wyglądać? Chcę wam powiedzieć, że jest powołany Komitet Obrony Kraju. I tak, jak towarzyszy Kania na III Plenum powiedział, będziemy bronić z determinacją tego, co bronić musimy. Musimy bronić socjalizmu, porządku — w drugim rzędzie — w tym kraju. I jesteśmy to zdecydowani uczynić, ale przede wszystkim dominuje u nas myśl, że by nigdy tych sił nie użyć, żeby nigdy do tego nie doszło. To, co powiedziałem w poprzedniej części, powiedziałem: wyciągamy rękę, na którą nie tylko pluja, ale nawet gryzą. Taką jest prawda. Może mówię za mocno, może ordynarnie. Towarzysze zaprosili mnie, Siwaka, robotnika, poznaliście, że tak powiem, mój charakter, mój sposób mówienia, musicie mnie przez i pół godziny znosić (...).

O ROBIENIU PORZĄDKÓW (II)

— „Czy jest konkretny program działania dla poszczególnych ogniw partii na najbliższy czas”? (...) Tak, towarzysze, na posiedzeniu Biura cały szereg spraw zostało bardzo mocno i zdecydowanie omówionych. W kraju, nie ma co ukrywać, jest chaos, bałagan, brak dyscypliny w zakładach pracy, na ulicy ciężko przejść wieczorem przechodniowi. Zdajemy

dostaje rok. (...) Nie może być tak, że sekretarz — konkretnie: Jasiński, Legnica — z „Solidarnością” za pan brat, od dnia Zjazdu z nim jedno ucho i z nim gada, a na sali, tak jak tutaj z wami jestem, wstają członkowie partii, mówią: towarzyszu Siwak, pierwsze spotkanie z wami i pierwsze słowa o partii, bo tego człowieka, co obok siedzi was, nie stać jest, żeby zrobić zebranie, żeby parę słów powiedzieć. Ba, mało tego, on powiada, jak żęmy plenum skończyli, mówi: nie będę śpiewał „Międzynarodówki”, bo mi przez gardło nie przechodzi. I to jest sekretarz partii, proszę was? Trzeba zrobić porządek. Zostało wydane polecenie wszystkim członkom Komitetu Centralnego i zastępcom oraz sekretarzom KW — bo takich kilku jest w kraju — żeby natychmiast wystąpili z „Solidarności”. Nie można tego zrobić do szeregowego członka partii, tym ludziom trzeba pozostawić wolną rękę. Powinni określić się sami. Powinni określić się sami i sami zrozumieć. Mówimy tylko jedno jasno: nie może być członek partii w dwóch partiach politycznych, towarzysze (...).

O RZUCANIU KLÓD

— „Dlaczego podniesienie cen pieczywa nie spowodowało poprawy możliwości jego zakupu”? Tu jest temat, który częściowo znacie (...), co wy tam w Biurze Politycznym podjęliście za uchwałę: podniesienie ceny pieczywa i równocześnie zia jakość tego pieczywa. Myśm, oczywiście, na tym Biurze doszli po nitce do kłębka, gdzie jest pies pogrzebany. Było wielkie zdenerwowanie, ponad godzinę żęmy czekali na wyjaśnienie sprawy i tow. Michałek przeczytał nam telex wiceprezesa „Społem” towarzysza — na razie jeszcze towarzysza — Popardowskiego Bronisława, który telexem na cały kraj wydał dyspozycję mieszania gorszego gatunku mąki do lepszej. Ja nie chcę towarzyszy przekonywać: w tym kraju nie było i nie ma potrzeby mieszania gorszych gatunków mąk, gdyż pełnej wartości zboże idzie na paszę, o czym doskonale wiecie. Jest to też jeden z ludzi, który, że tak powiem, rzucił klód rządowi, kierownictwu partii (...).

O BRAKU MIĘSA

— „Dlaczego kartki mięsne nie mają pokrycia”? Uważam, że już żęmy mówili. No, nie mają. Nie dostarcza się tyle towaru, z zagranicy też nie pokrywa jeszcze. Poza tym, jak wiecie, sprawy zatrzymywania mięsa w porcie też spowodowały pewien chaos mięsny na kartki. Bo my wysyłając mięso za granicę, sprowadzaliśmy 3,5 raza więcej mięsa z zagranicy, za te wyższe gatunki gorszego gatunku. I tutaj na razie pokrycia nie może być! Czy rząd zamierza interweniować, i w jaki sposób w sprawie namawiania rolników do wstrzymania sprzedaży trzody chlewnej? Już mówiliśmy tutaj sobie, że jest to sprawa maszyn, materiałów, prawda, a jednocześnie odpowiednich służb bezpieczeństwa na terenie wsi, gdzie już się tych osób sporo przyknieło. Po prostu są, będą odpowiedzialni za tę propagandę i za usiłowanie zrobienia, że tak powiem, chaosu w naszej gospodarce po prostu będą mieli sprawy karne (...).

O SWOJEJ SAMODZIELNOSCI

— „Czy sami piszecie swoje wystąpienia”? Muszę powiedzieć, że ja

O NOMENKLATURZE PZPR

Dalszy ciąg ze str. 1

— „Jak wygląda sprawa nomenklatury PZPR w świetle propagandy głoszonej przez „Solidarność”? Mnie mało interesuje, o głosi „Solidarność” na temat nomenklatury. Natomiast chcę powiedzieć, że partia nomenklatury się nie pozbędzie. Jest to pozabawienie bardzo dużej rangi oręza naszej partii. Jednocześnie na III Plenum myślimy określić się, swoje stanowisko. Partia będzie decydować, jeśli chodzi o obsadzenie wszystkich wyższych funkcji. Nie mówię, oczywiście, o kadry kierowniczej w drobniejszych przedsiębiorstwach, chodzi o zasadnicze (...).

O SIEDZENIU GRUDNIA

— „Czy przydzielenie Grudniowi mieszkania o powierzchni 125 m kw., podczas gdy dziesiątki tysięcy ludzi nie mają mieszkań. Czy to jest w porządku?” (...) Ja tego nie pochwalam (...). To, co wiem: Grudzień nie mógł się pokazać na ulicy, jego zaplanowano, ściągano mu spodnie, po prostu zrobiono mu lanie na gołe siedzenie. Nie mógł się pokazać ani on, ani żona w kolejkach za żądnymi artykułami. Złożył prośbę przeniesienia w inny region kraju. Ja nie wiem, czy dano mu tych kilka pokoi, 125 metrów, jeżeli dano, uważam, że przydużę, jeżeli na dwie osoby, ale z drugiej strony, towarzysze, my nie zatracaamy jednej sprawy: czy wszystkim należy, że tam powiem, od razu głowę odciąć? My wiemy, niewątpliwie, że pewnej części należałoby coś powycinać, ale czy wszystkim należałoby (...).

O KOMUNISZCIE BRATKOWSKIM

— „Jak towarzysz widzi możliwość realizacji uchwały IX Zjazdu w sferze ciągłej konfrontacji i negowania wysiłków uczelnych komunistów np. towarzysza Bratkowskiego?”... Jeżeli postawiliśmy w jednym rzadku Bratkowskiego i siebie, to nie chciałbym w tym rzadku stać. Ależ, cholera... Rzeczywiście, proszę towarzyszy, są w naszych szeregach (...) ludzie, są komuniści, którym leży na sercu, żeby ta sprawa się rozwiązała, że tak powiem, po ludzku, po polsku. Tylko ja się pytam: (...) jeżeli ja wezmę ręce do tyłu i będę gadał z działaczem „Solidarności”, który będzie pluł i bił mnie w końcu. I dokąd ja będę tak dyskutował (...), i on mnie zbije, opłuje, w końcu narobi guzów. Trzeba będzie tak rękę wyjąć, czy nie trzeba będzie tej ręki wyjąć? No, właśnie, o... to chodzi, no więc, ludzie kochani, zarzucanie w ten sposób, że ktoś prze do rozlewu, do konfrontacji? Stawianie partii tego zarzutu uważam, że jest niesłuszne. Właśnie w kraju jest ta tendencja: dlaczego tak długo dajecie się opłukiwać, dlaczego tak długo dajecie się obijać? I stawianie w tym świetle, że akurat uczciwi komuniści, że partia stawia tutaj na konfrontację, na rozwiązanie tego typu, to ja się z tym nie zgadzam! (...).

O SILE PRZEBICIA

— „Jaką siłę przebicia ma Siwak, co on może zrobić, a czego nie może zrobić?”... Po prostu, towarzysze, czy Siwak waży 150 kilo, a czy Kubiak waży, powiedzmy, jak dżokej — 58, to jest to ten sam głos. To jest nieważne, siła przebicia i mój głos, to jest po prostu ten jeden głos w tym Biurze. I to samo jest w Komitecie Centralnym, proszę was. Identyfikacja zasady się sprawa na głosowaniu i o tym was przekonywać chyba nie muszę, czyli jednoznacznie powiadam: jest to siła jednego człowieka, jednego człowieka Biura (...).

Po prawie trzech godzinach kończy się spotkanie z Albinem Siwakiem, który wsiada w służbowy samochód, aby jechał tego dnia, w Szczecinie. Sala pustnieje, a ja na wiele godzin pozostanę sam na sam z głosem Albina Siwaka, zapisanym na magnetofonowej taśmie. Głosem człowieka, któremu — jak sam powiada — „przyszło podejmować decyzje w skali kraju”, a który więc może w pewnym momencie zawazyć na życiu moich dzieci, mojej rodziny, mojej ojczyzny.

I myślę: martwię się, czy pocieszać? Siła przebicia Albina Siwaka — jak sam powiada — to jeden głos? Tylko jeden, czy aż jeden?

Do druku podała:
JACEK INDELAŁ

F.S. Tekst powyższy jest wiernym odzwierciedleniem zapisu z taśmy magnetofonowej. Występują w nim — typowe dla języka mówionego — ułomności i potknięcia, których nie mogłbym w pełni wyeliminować, gdyż wówczas całos wypowiedzi wymagałaby autoryzacji, trudnej ze względu na czysto techniczne.

ki materiałowej”. Tylko tyle i aż tyle. Po raz pierwszy odpowiedzialnością za ten stan rzeczy nie obciążano Amerykanów, którzy winni byli rozpowszechnieniu w Polsce stonki ziemniaczanej oraz wypuszczaniu w przestrzeń powietrzną balonów zagrażających, jak nie raz donosiła prasa, bezpieczeństwu lotów nad Łodzią.

Tylko tyle i aż tyle, 12 lutego wyjechała do Moskwy na rozpoczynający się XX Zjazd KPZR delegacja polska z Bolesławem Bierutem na czele. Nikt wtedy jeszcze nie przypuszczał, że ten jubileuszowy zjazd będzie miał wymiar historyczny.

Co prawda były już symptomy odwilży. Redukowano powoli przerosty administracyjne. Słynna uchwała 446 o kompresji etatów w administracji dosięgła nawet wszechwładny Urząd do Spraw Bezpieczeństwa. W łódzkim Urzędzie Zatrudnienia rojno było od petentów. Do opinii publicznej zaczęły także docierać sygnały o nadużyciach popełnianych przez bezpiekę. W pokazowym procesie za występek kryminalny skazano niejakiego Bogdana H., funkcjonariusza Urzędu do Spraw Bezpieczeństwa. O zbrodniach politycznej natury było na razie cicho, choć prawda o nich stawała się coraz powszechniejsza.

Tę zimną znamionującą nadchodzącą odwilż wszystko jeszcze toczyło się utartym torem. Władze powtarzały wezwania o konieczności racjonalnej gospodarki węglem, którego wciąż brakowało, a załogi zakładów uchwalały tzw. kontrplany, wnosząc swój wkład do konkretyzacji zadań pierwszego planu pięcioletniego. Na liście fabryk, które odpowiadały na wezwania władz, czołowa pozycja przypadła Zakładom Przemysłu Bawełnianego im. Józefa Stalina. Po trwającej dwa miesiące dyskusji załoga uchwalała wzrost produkcji globalnej w cenach niezmienionych o 21 proc. oraz dodatkową wysoką akumulację. W innych zakładach było podobnie. Nikogo nie zastanawiała niemożliwość do zrealizowania dynamika tych liczb. Na wielkim wiecu kobiet łódzkich, który odbył się w hali sportowej na Widzewie, włókienniki według wyuczonego wzoru złożyły stosowne meldunki produkcyjne.

W tym czasie dobiegał końca XX Zjazd KPZR. Skape relacje prasowe nie pozwalały jeszcze na zrozumienie doniosłości jego uchwał, ale pewne rewelacje, powtarzane zrazu w konfidencji jako plotka, przenikały powoli do świadomości ludzi. Dla wielu był to prawdziwy wstrząs.

14 marca gazety na pierwszych stronach przyniosły wiadomość o śmierci Bieruta. Lakońiczny komunikat lekarski o chorobie i przyczynie zgonu mówił o grypie i zapaleniu płuc, których rezultatem był ciężki napad niedomogi sercowo-naczyniowej z zaburzeniami krążenia wieńcowego. Zgon nastąpił 12 marca o godz. 23.35 czasu moskiewskiego.

Ta nagła śmierć polskiego przywódcy, który powraciał ze Zjazdu KPZR w trumnie, dała pożywkę do najdziwniejszych przypuszczeń. Szczerzy był także niemal powszechny żal. W oknach wystawowych łódzkich sklepów pojawiły się portrety przybrane kirem, nad bramami domów załopotali żałobne flagi opuszczone do połowy masztu.

Ten żal próbowano od razu przekuć na politykę. Na fabrycznych wiecach żałobnych mnożyły się oświadczenia: „Będziemy pracować jak uczył towarzysz Bolesław Bierut”; „Jeszcze mocniej skupimy się wokół Komitetu Centralnego partii i z zapalem będziemy wykonywać jego polecenia”.

Do Warszawy, gdzie w gmachu Komitetu Centralnego wystawiono trumnę ze zwłokami, pojechały liczne delegacje z Łodzi.

Pogrzeb odbył się w piątek, 16 marca. Dzień był ponury, chłodny, padał gęsty śnieg, mimo to na ulicach Łodzi przy specjalnie zamontowanych megalonach gromadziły się tłumy ludzi. Żałobna, nastrojowa muzyka. Spiker radiowy złołowym głosem informował o posuwaniu się konduktu sprzed gmachu Komitetu Centralnego na Plac Stalina przed dzisiejszym Pałacem Kultury. Na licznych akademickich ludziom puchły powieki od płaczu. Rzadko kto uprzytomniał sobie, że wraz z tą trumną wiezioną na lawecie została pochowana bezpowrotnie pewna epoka. Bowiem dopiero pod koniec marca w polskiej prasie pojawia się niezrozumiały zrazu termin „kult jednostki”.

Łódź ma zresztą swoje lokalne wydarzenia absorbujące opinię publiczną. Jednym z nich jest nieuchwytny wampir z Gałkówek, siejący wieczorami strach także na łódzkich ulicach, co sprawia, że kobiety boją się wieczorami same wracać do domu. Niemal w tym samym czasie przed łódzkim sądem toczy się wielodniowy proces Heleny Brożyńskiej, pielęgniarzki szpitala im. Korczaka, oskarżonej o kradzież leków oraz żywności z kuchni szpitalnej. Mimo nieprzyznania się oskarżonej do winy prokurator zażądał kary śmierci i sąd uwzględnił to żądanie. Nie wiem, czy ten krzykzący wyrok został wykoany, podaje go tylko jako przykład manipulowania opinią publiczną, którą należało czymś zająć w okresie politycznego kryzysu.

Tę kryzysu nikt jeszcze nie nazywa po imieniu. Po śmierci Bieruta zaczął się nowy zaciąg do partii. Na zebraniu w Zakładach Przemysłu Wełnianego im. Gwardii Ludowej jednorazowo zarekomendowano dziesięcioro towarzyszy. Jeszcze wyraźniej kryzys daje o sobie znać w gospodarce. Zostaje także nie nazwany, ale już 9 kwietnia Komitet Centralny i Rada Ministrów podejmują wspólną uchwałę o rozszerzeniu uprawnień przedsiębiorstw państwowych, która ma zniwelować straty spowodowane dotychczasową, totalną centralizacją w zarządzaniu przemysłem. W łonie samej partii toczy się zaciekła walka między broniącą swych dotychczasowych pozycji grupą natolińską, a zwolennikami reform z grupy puławskiej. Ta walka ma swoje przedłużenie w instancji łódzkiej, gdzie także nie ma jednomyślności w ideowej organizacji młodzieżowej jaką był Związek Młodzieży Polskiej.

Prasa łódzka publikuje niezwyklej dokument, list otwarty młodzieży z Zakładów Strzelczyka do Zarządu Łódzkiego ZMP, w którym czytamy:

„W końcu marca r.b. tow. Chabelski (ówczesny przewodniczący ZŁ ZMP — przypisek K.F.) mówił przez radio o młodzieź organizacji ZMP. Sporo miejsca poświęcił młodzieży naszego zakładu. Słuchacze dowiedzieli się wówczas, że młodzież „strzelczykarska” jest ofiarna, że dobrze pracuje, że dobrze uczy się, że założyła pierwszy w Polsce Klub Młodej Techniki, że należy brać przykład ze „strzelczykowców” itd.

Słuchaliśmy tej audycji i nie wstydzimy się powiedzieć — złość nas brała. Skąd tow. Chabelski wie, że nasza młodzież jest ofiarna i dobra, skąd wie, że w klubie pracują młodzi miłośnicy techniki? Przecież nie był u nas w zakładzie, przecież pracowni Klubu Młodej Techniki nie widział na oczy.

Jesteśmy jedną, zetemowską rodziną: my robotnicy, technicy, inżynierowie i Wy, pracownicy wyższej instancji. Wypada więc żebyśmy często odwiedzali się wzajemnie i radzili o sprawach bliskich naszemu pokoleniu.

Przyjeżdźcie do nas, do zakładu, żadnego z Was od wielu miesięcy nie widzieliśmy. Przyjeżdźcie i Wy, Towarzyszu Chabelski”.

Nieśmiała jeszcze krytyka aparatu zaczyna stopniowo roznosić się także na partię. Dyrektor Łódzkiego Zakładu Remontu Maszyn Przemysłu Odzieżowego wypowiada publicznie znamiennej opinii:

„Spodziewaliśmy się czegoś nowego, a wszystko idzie ustalonym torem, od KC do KW, od KW do KD. KD przysłała prelegenta, który już mówi z acznie mniej niż wie, niż my wiemy, niż domyślamy się.

PAŹDZIERNIK — MIESIĄC NADZIEI

Jeśli tak dalej pójdzie, to wielkie przemiany, jakie zapoczątkował XX Zjazd mogą uśknąć gdzieś w komitetach dzielnicowych czy miejskich”.

Ta nieufność wobec aparatu partyjnego niższych szczebli była w pełni uzasadniona i mądrą, jednocześnie brak zaufania do instancji wyższych, których nie odważano się jednak głośno krytykować. Wiadomo już było, że nie są monolitem, że XX Zjazd KPZR posłał zamieszanie w łonie najwyższych władz, ale przebieg toczącej się walki nie był znany szerszemu ogółowi. Jedynym właściwym źródłem informacji były rewelacje „Warszawy Zachodniej”, jak nazywano wówczas potocznie radio „Wolna Europa”, której słuchano mimo zagłuszania. Dla wielu uczciwych działaczy partyjnych, przyzwyczajonych do utrwalonego wzorca propagandowego, przedstawienie się na nowo toru myślowe było właściwie niemożliwe. Szokowały nie tylko powtarzane coraz powszechniej rewelacje o Stalinie, który w dalszym ciągu patronował zza grobu wielu zakładom r-zemysłowym. Niezrozumiały był także nowy sposób widzenia spraw jugosłowiańskich, odbiegający od dotychczasowej doktryny. W jednej z łódzkich fabryk prelegent Centralnej Szkoły Partyjnej zapytany o stosunek do Tito wywyczał najdziwniejsze łamańce myślowe stwierdzając, że w pewnym czasie Tito podobnie jak Beria wyrósł ponad partię i naród, nie chciał się nikomu podporządkować, a to dlatego, że podobnie jak Gomułka w Polsce chciał zostawić u siebie obszarników.

To pomieszenie z popłataniem dotyczyło nie tylko propagandzistów. Zwątpienie wkradało się także w szeregi służby bezpieczeństwa, budzącej wciąż jeszcze powszechny lek. Przeciwny człowiek zaczynał sobie zdawać sprawę, że dzieje się coś niezrozumiałego skoro odwołano ze stanowiska ministra Państwowych Gospodarstw Rolnych Stanisława Radkiewicza, byłego szefa resortu bezpieczeństwa. Dymisja dotknęła także generalnego prokuratora Stefana Kalinowskiego, którego zastąpił Marian Rybicki.

Ferment ogarnął przede wszystkim środowiska młodzieżowe i inteligencję, najbardziej chłonne na wszelkie nowinki. Pozwalało to dzierzymordom na podjęcie kontrataku wypróbowaną metodą wbić klina pomiędzy robotników i inteligencję. Sprawa była na tyle poważna, że podczas VIII Sesji Sejmu Henryk Korotyński mówił o tym zjawisku z trybuny parlamentarnej podając przykład Łodzi.

Sesja sejmowa była rewelacyjna, gdyż za jej pośrednictwem zaczęły do świadomości społecznej docierać nowe hasła. Okazało się nagle, a mówił to premier Cyrankiewicz, że Sejm jest najwyższym organem ustawodawczym i konstytucyjnym, że rząd będzie umacniał praworządność, że rozpocznie się walka z nadmiernym centralizmem i wypaczeniami biurokratycznymi, z przejawami korupcji i nadużyć w życiu gospodarczym.

Nowy język pojawił się także w pierwszomajowym wystąpieniu i sekretarza KŁ PZPR Michałiny Tatarkówny-Majkowskiej, która stwierdzała:

„Nie ma w Łodzi środowiska, domu czy rodziny, gdzie by nie zastanawiano się nad sytuacją kraju, miasta, ludzi, nad kłopotami z którymi się borykamy i nad błędami, które po-

pełniliśmy. A popełniliśmy ich niemało. Często słowa nasze nie miały pokrycia w naszych czynach, często rodziła się rozbieżność między uchwałami partii, rządu, miejsowych władz a praktyką codziennego życia.

Przeżywamy nietłaty czas, sytuacja jest skomplikowana. Kraj nasz jest w trudnym gospodarczo i niezmiernie ważnym politycznie okresie (...)

Sytuacja w Łodzi jest szczególnie trudna. Zarobki „a niskie mimo podwyżki płac dla najniższych zarabiających — do 500 zł miesięcznie. Trudno wielu rodzinom łódzkim zwozić konie z końcem. Często jest z zaopatrzeniem. Zaniedbaliliśmy poważnie gospodarkę komunalną (...)

W Łodzi są trudności z zatrudnieniem. W Łodzi jest wiele biurokratyzmu, wiele nieuwagi w stosunku do potrzeb ludzi, często sterty papierków przesłaniają życie człowieka”.

Za tymi ogólnikami krył się głęboki dramat miasta, które poza wyższymi uczelniami, niczego właściwie nie uzyskało na socjalistycznym awansie Polski. Budownictwo mieszkaniowe stało w miejscu, fabryki pracowały w warunkach urągających godności robotnika, nie przybywało gmachów użyteczności publicznej. Zza fasady sloganów wyzierała ponura rzeczywistość. Mimo to nastroje społeczne nie były najgorsze. Majowy pochód, w którym wzięło udział ponad sto tysięcy ludzi, nazwanym świętem WIELKIEJ ODNOWY, a wśród hasel powtarzały się wezwania o niezłomne przestrzeganie norm lenińskich, o coraz głębszą demokratyzację naszego życia i pełną praworządność.

Do podniesienia tych nastrojów niewątpliwie przyczyniła się ogłoszona parę dni wcześniej ustawa o amnestii, która otworzyła bramy więzień dla tysięcy ludzi. A dostać się w tym czasie do więzienia było niezwykle łatwo, za byle głupstwo: za głośne opowiedzenie dowcipu politycznego za chwilę niewuagi przy maszynie za ambicję prowadzenia własnego interesu, za niewywiązanie się z obowiązkowych dostaw. Można było także paść ofiarą politycznej prowokacji i to były sprawy najboleśniej, najbardziej jątrzące. Miarę grozy tamtego czasu najlepiej oddaje krzącający po Łodzi i chyba w całej Polsce dowcip na temat różnic między idealistą a materialistą. Sprowadzała się ona do tego, że idealista ma wiarę w życie pozagrobowe, materialista zaś wierzy w posmiertną rehabilitację. Inny dowcip wyrażał powszechne żądanie przywrócenia Katowicom ich pierwotnej nazwy, gdyż, jak wiadomo, po śmierci Stalina przemianowane zostały na Stalinogród. Pasażer udający się na Śląsk pyta współpasażera: Czy to już Stalinogród? Otrzymuje odpowiedź: Nie! Jeszcze.

Jak już wspomnieliśmy, ferment objął w pierwszej kolejności środowiska młodzieżowe. Zaczęło się oddawanie legitymacji ZMP. W Szkole Filmowej zjawisko to przybrało formę demonstracji. Grupa studentów powiadomiła KC PZPR, że zakłada nową organizację komunistów, gdyż ZMP jest skompromitowany. Ale ten ferment był jeszcze mało widoczny w życiu publicznym, gdzie wciąż dominował dotychczasowy rytuał, jakby nie się nie działo. Bujnie krzewił się utrwalony ceremoniał, rozdawano sztandary przechodnie za wyniki współzawodnictwa międzyzakładowego, choć coraz rzadziej eksponowano Zakłady im. Stalina. Patron najwyraźniej przeskadzał.

Społeczna potrzeba zmian sprawiła, że coraz częściej zaczęto robić różne przetaskowania personalne, głównie zresztą w administracji. 25 maja na stanowisko przewodniczącego Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi zostaje powołany dotychczasowy dyrektor Centralnego Zarządu Przemysłu Dzielniarskiego Edward Kaźmierczak. Przebieg sesji, która trwała aż siedem godzin, także był niecodzienny, choć formalnie dotyczyła spraw budżetowych i planu gospodarczego. Wziął w niej udział minister gospodarki komunalnej Kazimierz Mijal.

Ze nowe wkracza do administracji miał dowodzić proces dwóch kontrolerów Wydziału Kwaterunkowego, których skazano na kary więzienia za brutalne przeprowadzenie dokwaterowania lokatora w jednym z mieszkań przy ul. Kraszewskiego w związku z czym poniosło śmierć dzi cko przyduszone pierzyna. Była to znów pokazówka, o której grzmiał prasa, a sprawa bezdusznych urzędników trafiała nawet do przemówień politycznych jako swoiste alibi władzy. Sytuacja mieszkaniowa w Łodzi była bowiem tak ciężka, że niemal nieustannie dzicy lokatorzy wimali się do nielecznych, nowych mieszkań. Przy niezasiadłonych blokach trzeba było ustawiać uzbrojonych strażników.

Z listu nie podpisanego czytelnika do redakcji „Głosu Robotniczego”:

„Zlikwidować niepotrzebne instytucje zgodnie z wytycznymi podanymi przez jednego z posłów sejmowych. Skomacować pokrewne ministerstwa, zlikwidować zbędne centralne zarządy utrudniające pracę przemysłowi.

Odsunąć na bok podstawową zasadę socjalistyczną — troskę o człowieka i zapomnieć o nim. Zasklepić się w doktrynach w sprawach czysto partyjnych i powstała partia sama dla siebie, a człowiek dla którego miała ona pracować został na uboczu zahakany wieczną troską o byt codzienny dla siebie i rodziny”.

Był to jeden z wielu głosów jakie rozlegały się coraz głośniej z trudem jednak torując sobie drogę na łany prasy. Publikowano je z oporami w opakowaniu niepotrzebnych k mentarzy i pseudopolemik, które miały na celu powstrzymać rozwój wydarzeń. Z rak dotychczasowej władzy wymykało się bowiem wszystko: wpływ na masy, sprawy gospodarcze, a zwłaszcza praktyka polityczna. Toteż tak oczywiste hasła jak to, że prawa wyborcze w stosunku do swych przedstawicieli nie mogą być fikcją przyprawiały niejednego kacyka o bezsenność. Ale najważniejsze jeszcze nie nadeszło; a zbliżające się lato nie zapowiadało gwałtownej lawiny wydarzeń.

KONRAD FREJDLICH
(odn)

WOKÓŁ BOCHNA CHLEBA

Wbrew przewidywaniom specjalistów, po podwyżce cen popyt na pieczywo wcale nie zmalał. Przeciwnie, nadzieja na pojawienie się aż 29 gatunków pieczywa podstawowego, uzupełniającego i dietetycznego, jeszcze bardziej wzmogła apetyty. U drzwi sklepów sterczą przeto kolejki, a ponieważ przeważają w nich renciści, można usłyszeć, że przed wojną nie było piekarni-gigantów, a chleba nie brakowało. Mój Boże, coż to był za chleb! Świeżutki, mięciuchny, jak słoneczko jasny. Bez uczynienia znaku krzyża nie wypadało napocząć pachnącego bochna, a zjedzenie „przylepki” ze złością skór-

go, skoro w całej Polsce nie kupi się drożdży. Bimber gotują, czy co, do cholery? Rolnicy z „Solidarności Wiejskiej” mówią, że dla odciążenia rynku miewskiego wieś mogłaby powrócić do wypieku chleba. Niestety, żaden naczelnik nie jest w stanie zapewnić chłopom cegły, wapna i cementu na piec. Jeżeli więc sam kiedyś pisałem o ładowaniu na wozy po 20 bochenków chleba, to nie miałem na myśli ani sklepów wiejskich, ani też właścicieli dużych gospodarstw chłopskich. Po chleb sięgał przede wszystkim właściciele małych gospodarstw, chłopy-robotnicy i drobni

perniku, w ogóle nie ma mowy. Giganty tego nam nie wypieka. W dwa tygodnie po podwyżce cen na półkach leży stary chleb. Brakuje pieczywa drobnego, żytniego oraz półciukierkowego. Dostawy są opóźnione, co się tłumaczy wzmogłą kontrolą jakości. Natomiast występującej braku ciągłości dostaw chleba i bułek tłumaczy się wzmogłym popytem. Czy są to wyjaśnienia wystarczające?

Od myszy do młynarza, wszyscy żyją z piekarza. Do niedawna w wielkich piekarniach na jednego piekarza przypadał jeden urzędnik. Dziś koszt wypieczonego tam 1 kg chleba wynosi 30 zł. Zeby wyjść na swoje, trzeba piec szybko i dużo. Wypiek „galanterii” w ogóle jest nieopłacalny. Dlatego tylko niektórzy z piekarzy zajmują się różnymi asortymentami. Samochody jeżdżą po całym mieście (dziesiątki kilometrów, benzyna), zbierają po piekarniach poszczególne gatunki i roz-

sobótę trzeba najwięcej, przy czym waży się 5 deka mniej. Skórka jest ładnie przypieczona, a w środku „pasztetowa”. Nie oznacza to wcale, że istniejące giganty są niepotrzebne. Ale po co budować nowe? Nie oznacza to również, że giganty ponoszą całą winę za złą jakość pieczywa. Przecież tam również piecze się z takiego surowca, jaki jest.

Profesor Krasinski oświadczył, że mąkę winno się przesiewać w młynach sześćnaście razy, a przesiewa tylko trzy, co obniża potem jakość chleba. A mnie powiedział kiedyś stary młynarz, że wszystko zaczyna się na polach. Kiedy zboże wygrzało się w kolkach na polu, mąka była lepsza. Natomiast stary piekarz dodał, że w kolkach ziarno dosychało w naturalnym powijaczku z plewy, co także miało swoje znaczenie. Święta prawda. Dziś kombajny już na polu tłucze ziarno, gubi plewy, i to obniżone, wilgotne ziarno,

jej brakuje. O młynach już pisałem. Pracują w trudnych warunkach, w pośpiechu, na najwyższych obrotach. W innych krajach ze 100 kg zboża uzyskuje się 50 kg mąki, u nas natomiast ten „wyciąg” dochodzi do 80, a nawet 90 kilogramów. Oznacza to, że właściwie jemy chleb z otrąb, ciemny i za kwaśny. Piekarze marzą o mące pszennej typu „650”, ale taką można nabyć jedynie w nielicznych prywatnych młynach, np. u pana Dzikowskiego.

Istotnym czynnikiem obniżającym stopień fermentacji, a tym samym jakości chleba, są drożdże. Produkowane w kombinatach (np. Niechci-ce) są bardzo słabe, trzeba potrójnych dawek, aby fermentacja przebiegała zgodnie z wymogami. Po dwóch dniach kwitną bakterie i, jak stwierdził jeden z piekarzy, te „złone muchy” można przepuścić lejkiem do butelki. Na domiar złego i nawet tak podłych drożdży nie można nigdzie kupić. Rzemieślnicy nie mogli dotąd otwierać małych wytwórni drożdży.

W państwowych piekarniach, w celu spulchnienia, dodaje się do pieczywa pszennej mączkę ziemniaczaną. Efekt jest taki, że popularne „angielki” przestają się w środku w cuchnąć, zielonkawą substancję, która nie nadaje się nawet do uszczelniania okien. Bakterie tlenowe w skażonej mące też robią swoje.

Wydawałoby się, że skoro giganty nie są w stanie piec drobnego pieczywa pszennej, mogłyby się tym zająć przynajmniej piekarnie osiedlowe, zwane „Liliputami”. Niestety, tak one, jak i rzemieślnicy, nie mają dodatków: cukru, oleju, margaryny. Dożyliśmy czasów, w których rzemieślnik nie może wykształcić ucznia. Bo jak nie ma dodatków, to uczeń nie nauczy się piec bułek z kminkiem, małgorzatek, chał, strucli, itp. Gdyby nie było reglamentacji na dodatki, rzemieślnicy robiliby również chociażby bagietki. Powiem więcej — przy dobrym zaopatrzeniu w surowce rzemieślnicy mogliby orzeźwić nawet piekarnie „Liliputy”. Państwo miałyby czysty zysk, po kilkadziesiąt tysięcy miesięcznie z każdej. Bo prywatny piekarz na „naszej ulicy”, to ktoś przyjazny, bliski. Przychodzi się doń jak do lekarza, albo do ulubionego fryzjera. Władze miasta Łodzi dostrzegają ten problem. Ustalono już, że zezwolenia na budowę piekarni będą wydawane osobom prywatnym bez żadnych ograniczeń. Rzemieślnicy mają również pierwszeństwo w przydziale działek budowlanych. Potrzebne są nowe, małe piekarnie, wraz ze sklepami o ciągłej sprzedaży, bo dzięki nim świeże pieczywo trafia prosto z pieca na łade, bez uciążliwego i kosztownego transportu. Koszty własne są tam o wiele niższe, ponieważ rzemieślnik sam piecze, sprzedaje, jest buchalterem, sprzątacem, zaopatrzycielem, itp., bez sztabu administracji.

Tymczasem w prasie łódzkiej ktoś



Fot. R. Łucyszyn

wożą do sklepów. Stąd m.in. biorą się opóźnienia w dostawach.

Przy taśmowej produkcji i braku ludzi, chleb trafia do pieca bez należytej fermentacji. W pierwszych dniach tygodnia piecze się 45 minut, później o 5 minut krócej, a w piątek już o 15 minut krócej, bo na wolną

trzeba sztucznie dosuszać. Mąka jest potem niesmaczna, kleista.

Inny stary piekarz powiedział, iż mąka jest to „niedogryzane dziecko, wyjęte z łona matki”. Powinna więc od dwóch do trzech tygodni poleżeć w cieple. Tymczasem dziś prosto z młyna trafia do piekarni, bo wciąż

RYSZARD BINKOWSKI

ZAKALEC

ka było wielką nagrodą, zwłaszcza dla dzieci.

Przed wojną o chlebie pisali sami poeci. Dziś piszą wszyscy, bez względu na stan i wykształcenie. Głównie skargi i petycje, protesty. Coś się stało...

W czasie okupacji, tuż po wojnie, a także jeszcze w latach pięćdziesiątych, utrzymywał się należyty szacunek dla chleba. We wsiach były piece, w których wypiekało się wielkie bochny utrzymujące świeżość i aromat przez tygodnie. Trzeba sobie jednak jasno powiedzieć, że w latach pięćdziesiątych państwo płaciło chłopu 60 groszy za kilogram kontyngentowego żyta, natomiast kilogram chleba w sklepie kosztował trzy złote. Nie więc dziwnego, że gospodynie same piekły chleb.

Potem, poprzez różne zakrety, doszliśmy do tego, że chleb stał się tańszy od paszy. Minister Krasinski, którego cenę za optymistyczne i głębokie przekonanie, oświadczył, że możemy zaoszczędzić 30 proc. mąki jeśli natychmiast zrobimy podwyżkę, bo 20 proc. chleba idzie na paszę, a 10 proc. do śmietników. Nie wiem, skąd się wzięły te dane, bo tego przecież w żaden sposób nie da się wyliczyć. Ponadto bałbym się stwierdzić, że polscy piekarze żywią naród i kilkanaście milionów świń. Raz, że obraziliby się piekarze, a dwa — byłoby to stwierdzenie krzywdzące miliony ludzi ze wsi, osad i małych miasteczek, gdzie o stały się tylko piekarnie GS-owskie, bo prywatnie zlikwidowano przy kolejnym zapalaniu „zielonego” światła dla rzemiosła. W czasie żniw byłam w woj. krosnieńskim i widziałam, że pod sklepami wiejskimi dzień w dzień sterczą znękaną, rozdrażnioną kobietę, z nadzieją, że może przyjeździe samochód z GS. Przyjeżdżał, ale nie zawsze z chlebem. Kobiety mówiły mi, że łzami w oczach, że w wielu domach są jeszcze piece, można by piec samemu, ale coż z te-

hodowcy, którym zamknięto dostęp do państwowych pasz treściwych. Zakładając, że w łódzkim przemyśle pracuje pięćdziesiąt tysięcy osób mieszkających poza Łodzią i że każda z nich kupi w Łodzi dwa bochenki chleba dziennie, to wyjdą nam dziesiątki ton. Może więc handlowcy nie wzięli tego w rachubę? A przecież wykupywanie chleba na paszę zaznacza się szczególnie i wyłącznie na obrzeżach wielkich miast.

Przekonując nas do podwyżki cen minister Krasinski stwierdził, że chleb piecze się w zawrotnym tempie, w podwyższonej temperaturze i o pół godziny krócej niż trzeba, z czego wychodzi straszny, spalony z wierzchu kit. To, że czuście się nas zakalcem albo „pieczywem rotacyjnym”, to prawda. Zastanawiam się jednak, skąd minister brał sobie do radców. Bo każdy piekarz wie najlepiej, iż chleb musi „siedzieć” w piecu czterdzieści pięć minut. Przy skróceniu czasu o pół godziny powstaje przypalone ciasto.

Sprawa chleba ma o wiele głębsze znaczenie, niż by się wydawało. W trzewiach naszego życia gospodarczego zalega zakalec, który utrudnia dopływ świeżych, ożywczych prądów. Dotyczy to również piekarnictwa, a w szczególności piekarni-gigantów. Dlatego też nie wzbudza specjalnego entuzjazmu zapowiedź budowy nowych „dwunastotonówek” (12 ton pieczywa na dobę). Piekarnie takie buduje się przez 3-4 lata i to kosztem ciężkich milionów, a potem wychodzi z nich najgorsze pieczywo, asortymentowo najuboższe. Mamy podwyżkę cen, ale nie mamy z gigantów nic poza chlebem zwykłym i bułkami. A gdzie zapowiadany chleb razowy, sietek, chleb z otrąbkami, lecytynowy i mleczny, gdzie bułki „montowe”, poznaszkowane, kieleckie, bagietki, solanki? O kajzerkach, rogalikach, obwarzankach i małgorzatkach, a tym bardziej o pieczywie maślanym i pum-

O TYM SIĘ MÓWI, CO O TYM SĄDZISZ?

Nadzieje, jakie wiążemy z samorządową reformą gospodarczą są ogromne. Od samego początku społecznej dyskusji nad założeniami reformy zdecydowanie też przeważał pogląd, że reforma musi mieć charakter systemowy nie tylko w znaczeniu ekonomicznym, ale sięgać musi głęboko w społeczne i polityczne uwarunkowania gospodarki.

W atmosferze nadziei i niepewności, wzajemnych oskarżeń i sporów o „granicę” zmian, koncentrujemy się na podstawowych i bezpośrednich uwarunkowaniach skuteczności reformy, takich jak podwyżki cen, kompetencja samorządu, akty prawne itp. Jest to zrozumiałe. Nie wolno nam jednak zapominać o szerszych uwarunkowaniach, o tym, że założenia reformy realizować będą w praktyce konkretni ludzie o ukształtowanych postawach i sposobach myślenia. Nie tak łatwo dotychczasowe nawyki zastąpić nowymi i pozbędzie się mocno zakorzenionych stereotypów, nawet jeśli potrzebne zmian w pełni się rozumie i popiera. Ten naturalny konserwaryzm, wynikający ze swobodnego prawa psychologicznej bezwładności, jest dobrze znany psychologom, którzy określają go mianem „wyuczonej nieudolności”. Biorąc to pod uwagę z jednej strony, a z drugiej — niespotykany u nas dotąd zakres i głębokość planowanych zmian, należy się liczyć z pewnym okresem oczekiwania na pozytywne skutki przeprowadzonej reformy; trwania jego nie sposób na razie określić.

Warto o tym pamiętać, aby zbytnia niecierpliwość, uzasadniona zresztą rosnącymi trudnościami codziennego życia, nie skierowała ostrza krytyki społecznej przeciwko samemu kierunkowi i założeniom reformy gospodarczej. Warto również zwrócić uwagę na niektóre przynajmniej elementy kulturowych warunków powodzenia reformy.

Pośród licznych uwarunkowań o charakterze kulturowym na uwagę zasługuje stosunek członków rozmaitych instytucji gospodarczych do antynomii elitaryzm — egalitaryzm. Stosunek ten, co postaram się dalej wykazać, jest jednym z wyznaczników kultury pracy i etyki zawodowej. Zasługuje on na uwagę również dlatego, że coraz częściej mówi się o sprzecznościach pomiędzy powszechnie deklarowaną potrzebą egalitaryzmu, a więc zniesienia przywilejów, zmniejszenia rozpiętości zarobków i demokratyzacji życia, a duchem reformy gospodarczej, która premiowała ma nieprzeciętność, inicjatywę, która szansa na poprawę sytuacji upatruje w ostrej konkurencji między zakładami pracy i między ludźmi, co wcześniej czy później może doprowadzić do istotnych różnicowań ekonomicznych i społecznych. Można by-

łoby powiedzieć, co prawda, że sprzeczność jest pozorna, bo protest społeczny skierowany jest nie przeciwko różnicowaniu ludzi w ogóle, a przeciwko stosowaniu w przeszłości kryteriom tego różnicowania. Nie jestem jednak pewien, czy takie stanowisko można byłoby uznać za przeważające. Bliższe prawdy będzie chyba stwierdzenie, że oto mamy do czynienia, jak zwykle podczas przesileni społecznych, ze zwielokrotnieniem w masowej skali konfliktu typowym dla jednostki ludzkiej, mianowicie konfliktu między potrzebą równości a potrzebą dominowania. Naturalna potrzeba satysfakcji z poczucia równej wartości i zgodnej współpracy, przeplata się z równie naturalną potrzebą awansu, pięcia się w górę, robienia kariery, słowem: zadowolenia ze zwycięskiej konkurencji. Nie dostrzegając tej dwoistości natury ludzkiej, bądź świadomie ją negując, nie sposób zrozumieć wielu ludzkich zachowań. Dlatego również fałszywa wydaje nam się egoistyczna filozofia życia F. Nietzschego, jak i filozofia szarych, szczęśliwych falansterów, którą głosili socjaliści utopijni.

Ogólne hasła elitarnie i egalitarne mają charakter względny. Po pierwsze dlatego, że są to cechy stopniowalne, po drugie zaś dlatego, że możliwych kryteriów różnicowania ludzi i budowy hierarchii jest wiele. Ogólnie można mówić o elitaryzmie — egalitaryzmie w znaczeniu społecznym, ekonomicznym i politycznym.

W znaczeniu społecznym elitaryzm reprezentują na jednym krańcu skali koncepcje rasisowskie, staroindyjska Księga Manu, zawierająca podział społeczeństwa na kasty, utrwalony przez hinduizm, koncepcja „wielów krwi” uzasadniająca szczególne miejsca arystokracji rodowej w społeczeństwie itp. Z drugiej strony koncepcje egalitarne wsparte są na zasadzie „równości szans” i żywo manifestowane na przestrzeni dziejów podczas rozmaitych ruchów społecznych o charakterze plebejskim. Koncepcje te znajdują zwłaszcza zastosowanie na gruncie religii chrześcijańskiej — w wymiarze eschatologicznym — oraz na gruncie ideologii socjalistycznej. Równość szans nie przekreśla możliwości różnicowania społecznego, wszak szansę można wykorzystywać w różnym stopniu, w zależności od wrodzonych dyspozycji i warunków środowiskowych. Dlatego w skrajnym egalitaryzmie mówi się o konieczności wyrównywania nie tylko szans ale i warunków rozwoju ludzi. Tak pojmowany egalitaryzm grozi społeczną uniformizacją i unicestwieniem indywidualizmu niezbędnego dla społecznego rozwoju.

W znaczeniu ekonomicznym elitaryzm ak-

ceptuje hierarchię społeczną według stanu posiadania. Jest to zatem stanowisko typowe dla kapitalistycznych stosunków społecznych. Daleko idące różnicowanie dochodów uważane tam jest za zjawisko zdrowe i społecznie użyteczne. Możliwości wspinania się po szczeblach hierarchii społecznej upatrywano bowiem wyłącznie w rozwoju takich cech osobistych, jak pracowitość, skromność, oszczędność, uczciwość itp. Był to pogląd szczególnie charakterystyczny dla polityków, moralistów i ekonomistów z okresu wczesnego rozwoju kapitalizmu, jak np. B. Franklina, M. L. Mezières’a, A. Thiers’a, K. Forstera i in. Bardzo zdecydowanie przeciwstawiali się on wszelkim tendencjom egalitarnym, które, ich zdaniem, zaowocować musiałyby społeczną demoralizacją, na skutek zaniku wspomnianych cech.

Koncepcje egalitaryzmu ekonomicznego opie-

prześć obowiązywać przy określaniu wysokości zarobków. Stanowisko Marksa w tej sprawie nie pozostawia żadnych wątpliwości. Nieuwzględnianie też zasady i nadmierne spłaszczenie dochodów, czyli tzw. „urawniłowka”, prowadzi w prostej linii do atrofii ambicji i inicjatywy, dobrze wyrażającej się w popularnym porzekadzie: „czy się stoi, czy się leży...”. Na często stawiane pytanie jaka rozpiętość dochodów jest dopuszczalna w ustroju socjalistycznym, odpowiedź jest zatem prosta, choć mało konkretna: taka, przy której nie giną jeszcze motywacje do pracy lepszej od przeciętnej.

Elitaryzm w znaczeniu politycznym wreszcie przejawia się w rządach autokratycznych, w absolutyzmie, czy też w totalitarnej koncepcji państwa zaproponowanej przez Platona. Im natomiast bardziej rozszerza się krąg osób po-

CZESŁAW SIKORSKI

Elitaryzm, egalitaryzm,

rają się głównie na stanowisku K. Marksa. W „Krytyce Programu Gotańskiego” autor ten zwraca uwagę na konieczność stopniowego urzeczywistniania hasła egalitaryzmu. W pierwszej fazie społeczeństwa komunistycznego, a więc w socjalizmie, zniknąć mają kapitalistyczne kryteria ekonomicznego różnicowania ludzi, poza jednym, jakim jest indywidualny wkład pracy. Socjalistyczne hasło „każdemu według pracy”, wymierzone przeciwko możliwości bogacenia się cudzym kosztem przez właścicieli środków produkcji, nie oznacza więc równości dochodów. Przeciwnie, hasło to wyraźnie motywuje do zwiększonego wysiłku produkcyjnego, za który nagrodą będzie zwiększenie zarobków i wyższy standard życia w porównaniu z tymi, którym siły i zdolności nie pozwolą na równie wydajną pracę. Dopiero w drugiej fazie społeczeństwa komunistycznego, w warunkach pełnej obfitości dóbr, bodźce ekonomiczne w naturalny sposób tracą na znaczeniu, dominującym okazuje się zupełnie inny typ motywacji, co w sumie pozwoli na realizację w pełni egalitarnego hasła: „każdemu według potrzeb”.

Dopóki warunek pełnej obfitości dóbr pozostaje nie spełniony, kapitalistyczne, w gruncie rzeczy, kryterium wkładu pracy, nie może

dejmujących decyzje, im dalej posunięta demokracja, tym większy jest egalitaryzm władzy. W krótkowym przypadku egalitaryzm oznacza anarchię, czyli brak jakiegokolwiek centralnych ośrodków władzy w warunkach bezwzględnie pojmowanej wolności jednostki ludzkiej, co niektórzy nie bez racji przyrównują z najostrzejszą tyranią.

W instytucjach i zakładach pracy różnicowanie ludzi i umieszczanie ich na różnych szczeblach hierarchii jest wynikiem organizacyjnie ustanowionych stosunków nadzędności i podporządkowania. Krzyżujące się linie podziału w strukturze organizacyjnej są następstwem dokonanego podziału pracy i podziału uprawnień do podejmowania decyzji. Każdy pracownik pełni określoną rolę społeczną w zatrudniającym go instytucji. Rola społeczna oznacza wzór zachowania związany z zajmowaną pozycją w społeczności zakładu pracy. Biorąc pod uwagę wspomniane dwa elementy organizacyjne, można wyróżnić dwa zasadnicze rodzaje stosunków nadzędności i podporządkowania:

1. Ze względu na podział pracy można mówić o stosunku między zlecającą i wykonawcą lub producentem, czy też stosunku między klientem lub usługobiorcą a usługodawcą.

napisał, że prywatne piekarnie, które po podwyżce cen mogłyby dostarczyć 80 ton najlepszego pieczywa, nie w pełni wywiązują się z zadania. A jak mają to zrobić, skoro one właśnie mają najtrudniejszy dostęp do surowców? I nie mają na czym pracować. Brakuje dzieży, sit i dzielań do ciasta, a dostępny sprzęt ma takie wymiary, że nie mieści się w małej piekarni. Rzemieślnicy kupują więc zużyte maszyny, bo te jeszcze dobre, z państwowych piekarni, tnie się palnikami na złom.

Prywatny piekarz może obecnie zatrudniać sześciu pracowników. Gdy nie dostanie przydziałowej maki, to nie piecze, a ludziom musi płacić. Podatek od wynagrodzeń także, chociaż „państwowi” nie płacą. Wydział finansowy wciąż trzyma rękę na pulsie. Dlatego każdego dnia trzeba rejestrować pracowników, choćby to był zatrudniony do wyrzucenia szwagier. A jak na noc nie przyjdzie pracownik i trzeba kogoś na zastępstwo, i gdy w nocy wpadnie kontrola, to sypie się domiar.

Skończyły się rozbiórki, dla piekarzy zabrakło taniego drewna. Też zimy piekarze mają otrzymać tylko 30 proc. węgla. Resztę opału musi zastąpić drewno. Ale nie ze składów opałowych. Piekarni nie ma jechać do lasu i nabierać sobie ile zechce. A kiedy będzie piekło chleb?

To prawda, że w lasach leżą tysiące ton gnijącego drewna, które zaraża szkodnikami zdrowe drzewa. Martwymy się, gdzie zatrudnić ludzi. Myślę, że byłoby wiele opłacalne utworzyć brygady (chociażby z więźniów), które zbierałyby drewno w lasach i transportowały do składów opałowych. Tu nie chodzi tylko o oszczędność węgla, lecz przede wszystkim o chleb.

Pod koniec tych rozważań nasza mnie smutna refleksja. Zobaczymy w telewizji profesora Krasieńskiego. Wyglądał na zmęczonego i przynębnionego. Ale, jak zwykle, nie tracił nadziei. Ja natomiast zaraz potem usłyszałem, że „Solidarność” i milicja z Tuszyna odkryły w chlewni w Kruszowie prawie dwa tysiące bochenków świeżego chleba. Podobno było to pieczywo wyższej jakości, nie nadawało się jednak do zjedzenia przez ludzi. Czyżby więc chleb znowu stał się najtańszą paszą? Poszedłem na rynek, aby się przekonać, że kilogram żyta kosztuje już 20 zł, a kilogram pszenicy aż 28 zł. Co będzie dalej? Dlaczego tak trudno nam się wygrzebać z tego zakaleca, który zakłajstrował tryby i trybiki naszej gospodarki? Po podwyżce cen chleba i przetworów zbożowych, która jest pierwszym elementem reformy gospodarczej, słonec jeszcze nie zaświeciło. Ale gdy reforma uderzy mocniej, to być może rozpędzi czarne chmury.

Dalszy ciąg ze str. 1

regionu Mazowsze przy pomocy podobnych placówek naukowych w innych regionach. Nie jestem socjologiem i nie mam zbytniego zaufania do uogólnień czynionych na podstawie wskazań czyśto losowych, jak zresztą do wszelkich praw statystycznych, ale sądzę, że mogą one stanowić wysłowiowy materiał do pogłębionej refleksji, operującej więcej niż tylko barwami czarno-białymi.

Badaniami, o których mowa, objęto 1000 członków „Solidarności” z całego kraju. Jak już wspominałem nie jestem socjologiem, wiem jednak na czym polega rachunek prawdopodobieństwa i dlatego mogę się zgodzić, że z tych badań może wyniknąć w miarę reprezentatywny i dość przybliżony obraz poglądów i nastrojów ogółu członków, że wydedukowane z tych materiałów stwierdzenia bliższe są nawet prawdy niż rezultaty wielu demokratycznych głosowań, gdzie manifestacja i taktyka ma często pierwszeństwo przed rzeczywistością.

Ankieta zawierała dwadzieścia jeden szczegółowych pytań i dwa ogólniejsze natury. Brzmiały one: „Dlaczego należy (Pan/i) do „Solidarności”? oraz „Co to jest właściwie „Solidarność”?

Pierwsze z nich związane jest z kwestią motywacji, drugie jest natury perspektywnej, gdyż z odpowiedzi może wynikać nie tylko charakter związku widzianego oczami członków, ale także kierunek, w którym powinien się rozwijać.

I rzecz zastanawiająca: zdecydowana, choć nie przytłaczająca większość osób podała jako powód wstąpienia do „Solidarności” przekonanie, że dzięki temu związkowi będzie w Polsce lepiej. Można więc powiedzieć, że ogromna ilość Polaków pokłada w „Solidarności” nadzieję na poprawę sytuacji w naszym kraju. Świadczy to w każdym razie o potrzebie zmian, na które wciąż oczekuje społeczeństwo oraz o dezaprobach dla dotychczasowego stanu.

Gdybyśmy na podstawie ankiety próbowali wyrobić sobie pogląd, jakie mają być te zmiany, nie byłoby to sprawą prostą. Ankieta nie sugerowała wprawdzie odpowiedzi, ale przyniosła katalog prawdopodobnych motywów, nie pozwalając na ich rozwinięcie. Część, i to dość znaczną, członków „Solidarności”, jako motyw wstąpienia do związku podała jego niezależność i samorządny charakter. Jeszcze inni uzasadnili swój akces do „Solidarności” przede wszystkim tym, że jest to organizacja, która sobie stawia jako jeden z celów niezależność naszego kraju.

Były to motywy podstawowe, dotyczące polowy członków. Wśród opinii, które znalazły mniej zwolenników, znalazło się stwierdzenie, że jest to po prostu „uczciwa organizacja uczciwych” ludzi. Tylko co dwudziesty ankietowany wyraził na pierwszym miejscu przekonanie, że „Solidarność” ma lepszy program dla losów kraju niż partia, choć wiarę tę podziela, jak to wynika z badania, znaczny odsetek członków.

Zaskakujące jest to, że tylko bardzo nieznaczna część ankietowanych podała jako główny motyw wstąpienia do „Solidarności” współpracę z Kościołem, choć jak wynika z całości badań, niemal dla połowy z nich miało to istotne znaczenie.

Najmniej zwolenników zyskał sobie powód, że „Solidarność” stanowi ogromną siłę, że należy do niej większość społeczeństwa, co może świadczyć o tym, że wstępowanie do związku nie było ow-

czym pędem, ale świadomym wyborem. Choć z drugiej strony zastanawiające jest to, że większość ankietowanych właściwie obojętne jest to, że „Solidarność” daje prawdziwą możliwość działania. Mamy więc znów do czynienia z tak dobrane nam znanym pojęciem „millezającej większości”, która popierając jakąś ideę czeka, aby ktoś inny realizował ją praktycznie.

Czym więc jest dzisiaj „Solidarność”? Zdecydowana większość odpowiedzi przynosi odpowiedź: związkiem zawodowym. Tylko co piąty respondent dostrzega w niej przede wszystkim ruch społeczny. Niemal tyle samo ludzi uważa ją po prostu za bliżej nieokreśloną „organizację Polaków”, odpowiednik stereotypu: jak Polak, to katolik. Jeszcze mniej zwolenników zdobył pogląd, że „Solidarność” jest po prostu „samorządem społecznym”. Zaledwie co setny członek „Solidarności” określił związek jako partię polityczną, ale co szósty wpisał to do ankiety jako cechę pomocniczą. Świadczy to w każdym razie o tym, że członkowie „Solidarności” dostrzegają jej ambicje polityczne.

CO MYŚLI „SOLIDARNOŚĆ”

Okazało się także, że na te poglądy pięć badanych miało bardzo nieznaczny wpływ, choć kobiety częściej niż mężczyźni charakteryzowały „Solidarność” jako organizację Polaków. Nie pozwalało to oczywiście na żadne uogólnienia, choć można by przypuścić, że kobiety częściej od mężczyzn kierowały się pobudkami patriotycznymi.

Istotny wpływ na odpowiedzi miał natomiast wiek ankietowanych. Raport wstępny z podsumowania ankiety stwierdza nawet: „Im respondentem starsi, tym częściej zapisują się do „Solidarności” głównie dlatego, że jest to po prostu związek zawodowy”. Osoby w starszym wieku przywiązywały także duże znaczenie do współpracy „Solidarności” z Kościołem. Natomiast dla ludzi młodszych najważniejsze jest przekonanie, że dzięki „Solidarności” będzie w Polsce lepiej. Ten motyw był dominujący zwłaszcza wśród robotników, a ściślej wśród osób nie posiadających wykształcenia wyższego. W ogóle wykształcenie odgrywa, jak się okazuje, decydującą rolę w motywacji wstąpienia do związku i w określeniu jego charakteru. Dla większości magistrów fakt współpracy „Solidarności” z Kościołem okazał się mało znaczący, natomiast ludzie z wykształceniem podstawowym podawali to najczęściej jako okoliczność znaczącą, warunkującą ich wstąpienie do związku. Ludzie z wyższym wykształceniem częściej też od innych widzą w „Solidarności” przede wszystkim ruch społeczny, natomiast ludzie z wykształceniem średnim ogólnym dostrzegają w związku partię polityczną.

Ankieta przyniosła także odpowiedź na pytanie, jak widzą „Solidarność” członkowie partii należący do tego związku. Okazało się, że zdecydowana większość z nich widzi w tej organizacji przede wszystkim związek zawodowy. Można zaryzy-

kować twierdzenie, że nie tylko widzą, ale chcą go widzieć w takiej roli.

Dwa podstawowe pytania i rozrzut odpowiedzi jakie na nie uzyskano niechęć chyba oddają tendencje jakie nurtują miliony rzesze „Solidarności”, choć oczywiście nie mówią wszystkiego. Warto więc przyrzeć się jakie problemy są dla nich najważniejsze w świetle badań ankietowych. Tutaj odpowiedzi nie zawsze już pokrywają się z gazetowymi stereotypami.

Za najważniejszą sprawę uznano problem reformy gospodarczej, tak ważną jak problem suwerenności kraju. Ale dla wielu ankietowanych sprawą pierwszorzędnej wagi jest także znajomość prawdziwej historii Polski oraz zwiększenie jawności informacji i ograniczenie cenzury. Wysokie miejsce znalazł także postulat uniezależnienia Polski od wpływu innych państw i podniesienie moralności społeczeństwa. Rzecz zastanawiająca: za najmniej ważny uznany został problem podniesienia rangi szeregowego pracownika wobec kierownictwa zakładu pracy. Czy to dowód bezholowia, jak by napisał Urban, czy raczej potwierdzenie tego, że klasa robotnicza posiada poczucie podmiotowości? W ogóle sprawy czysto związkowe lokują się w grupie najważniejszych poglądów na dość odległych pozycjach. Cały szereg osób obawia się wprawdzie bezrobocia (wysokie, szóste miejsce w ankiecie), jeszcze większą ilość osób domaga się zadbania o interesy szczególnie pokrzywdzonych grup społecznych i zawodowych (czwarte miejsce), ale na przykład sprawy BHP znalazły się dopiero na miejscu czternastym.

Najwięcej spraw nurtujących związkowców ma mimo wszystko charakter polityczny albo społeczny. Wiele osób za sprawę najwyższej rangi uważa problem swobod obywatelskich, zdemaskowanie nieudolności i nieuczciwości działaczy partyjnych i rządowych, ale już tylko znikomy odsetek uważa, że „Solidarność” powinna dążyć do pozabawienia kierownictwa PZPR poczucia politycznego monopolu. Jest to nie innego jak uznanie przez zdecydowaną większość członków związku kierowniczej roli partii. Potwierdził to zresztą rezultat głosowania podczas I tury Zjazdu „Solidarności” w Gdańsku.

Okazuje się także (wbrew rozpowszechnionemu mniemaniu, że co drugi człowiek w Polsce to ekonomista, który posiada receptę na uzdrowienie gospodarki), iż problemy ekonomiczne nie cieszą się zbyt wielkim zainteresowaniem członków związku. Sprawę samorządu pracowniczego uważa za najważniejszą zaledwie co piąty ankietowany, choć większość uznaje ją za ważną, ale na przykład kwestia odroczenia spłat pożyczek zaciągniętych na Zachodzie znalazła się na dalekim piętnastym miejscu.

Myślę, że te dane powinny dać wiele do myślenia zarówno tym, którzy maniackalnie atakują „Solidarność”, widząc w niej same zagrożenia, jak też tym działaczom związku, którzy lekceważąc opinię mas członkowskich swoimi nieodpowiedzialnymi wystąpieniami dostarczają argumentacji i amunicji do takich ataków.

Mimo rozkręconej spirali inflacyjnej, mimo katastrofalnego spadku złotych, parytet rozum nie uległ zmianie w ogólnym bilansie wartości narodowych. Wydaje się nawet, że w tej sytuacji rozum nabiera relatywnie wartości najwyższej.

KONRAD FREJDLICH

Zleceniodawca (klient) zamawia wykonanie określonej pracy, wyraża swoje życzenia, które powinny być spełnione przez producenta (usługodawcę). W tym sensie producent znajduje się w pozycji podporządkowanego zleceniodawcy.

2. Ze względu na podział uprawnień do decydowania można natomiast mówić o stosunku między przełożonym (decydującym) a podwładnym (wykonawcą decyzji). Przełożony znajduje się oczywiście w pozycji nadrzędnej w stosunku do podwładnego.

Dla kultury pracy istotne jest to, czy pracownik pojmuję pełniąca przez siebie rolę społeczną w zakładzie pracy w sposób relatywny, traktując ją jako rezultat czasowo-przyjętych rozwiązań organizacyjnych, nie mając znaczenia dla stosunków międzyludzkich poza miejsce pracy, czy też — przeciwnie — ma skłonność pojmowania jej w sposób nierelaty-

wnych, lub zbliżonych do skrajnych, na temat elitaryzmu i egalitaryzmu.

Nierelatywne pojmowanie roli społecznej, przy jednoczesnej akceptacji zasad elitarnych, wyraża się w przekonaniu, że hierarchia organizacyjna w zakładzie pracy stanowi odzwierciedlenie hierarchii społecznej w ogóle. Należy więc mieć szacunek dla klienta i jego życzeń nie dlatego, żeby po prostu dobrze wykonać pracę, ale dlatego, że takie, czy inne oznaki świadczą, że klient ów należy do grupy uprzywilejowanych ze względu na majątek, zasięg władzy lub wpływy. Jeśli takich oznak nie ma, można się klientem nie przejmować. Lenin zrywał się na utrzymujące się po rewolucji stare nawyki wypełniania obowiązków ze względu na osobę zleceniodawcy, pisząc nie raz o negatywnym wzorcu „czynownika”, tak znakomicie scharakteryzowanym w powieściach

nej rezygnacji niezwykle rzadko zdarza się sprzeciw wobec ewidentnie niesłusznym polecen, bo przecież „dyrekcja wie lepiej”, a poza tym sprzeciw sprawie nie pomoże, a zaskodzi protestującemu. W tej atmosferze łatwo też o akceptację kierownictwa, który, co prawda, nie ma wystarczających kwalifikacji zawodowych, ale jest za to zasłużony lub ustosunkowany.

Nierelatywne pojmowanie roli społecznej, przy jednoczesnej akceptacji zasad egalitarnych, nasila się najczęściej w wyniku kryzysów i rewolucji społecznych. Stosunki nadzórności i podporządkowania organizacyjnej rozpatruje się wówczas na tle kategorycznie zwykle formułowanego postulatów egalitaryzmu społecznego, ekonomicznego i politycznego. W dziedzinie stosunków na tle podziału pracy zaznacza się w tych warunkach charakterystyczna niechęć do stonowania wykonawców czy usługodawców do podporządkowania się życzeniom klientów. Występuje wyraźna tendencja w kierunku standaryzacji świadczonych usług. Przy czym tego jest ogromna wrażliwość na wszystko, co dotyczy spraw zależności i podporządkowania. Chodzi o to, aby broń Boże nie zostać posądzonym o służalczość i czolobitność. To z tego właśnie względu zrezygnowano po wojnie z niektórych zawodów, uznając je za niegodne wykonywania w warunkach demokracji ludowej, a przynajmniej zmieniono ich tradycyjne nazwy. Tak więc nie ma służącego, ale może być kobieta do dziecka; nie ma stróża, ale może być gospodarz domu; z nomenklatury zawodów skreślono sekretarke, która oficjalnie nazywa się teraz referentem administracyjnym itp. Sprzedawczyni w sklepie na ogół nie nazywa swoich czynności obsługiwaniem klientów; ona sprzedaje, handluje, czy też po prostu pracuje. Z tych samych powodów zniknęło ze sklepów i punktów usługowych staroświeckie, co prawda, ale elegancko brzmiące hasło „Klient nasz Pan”. Zamiast niego pojawiło się biurokratyzmem zatłaczające: „Klient ma zawsze rację”; ma rację, bo tak stanowi przepis, ale niech się przypadkiem nie uważa za kogoś lepszego. Biurokratyczna celebrowa w ogóle zresztą przychodzi w sukurs tym dążeniom; stosunki z klientem stają się dzięki niej bardziej bezosobowe, prawa i obowiązki są wyraźniej określone, można więc zachować oszczędność i rzeczowość. Klienci, którzy podzielała opisany punkt widzenia, wcale nie oczekują przy tym lepszej obsługi. Zdarza się, że kępuje ich własna bezczynność, gdy ktoś wykonuje pracę na ich zamówienie; chętnie by pomogli, chociaż podając narzędzia.

Skrajny egalitaryzm w odniesieniu do stosunków wynikających z podziału uprawnień do

podejmowania decyzji przejawia się natomiast zwykle w zaniku kierowniczego autorytetu. Wysokie aspiracje podwładnych do uczestnictwa w zarządzaniu objawiają się bowiem niekiedy w negowaniu władzy organizacyjnej przełożonego i w braku umiejętności przechodzenia od roli współzaprządkającego do roli wykonawcy. Funkcje współzarządzania wyraźnie dominują nad wykonawczymi — „wszyscy chcą rządzić, nie ma kto pracować”. Jest to zjawisko szczególnie charakterystyczne dla okresów przesileni społecznych. Warto w tym miejscu zacytować Lenina, który zjawisko to traktował jako naturalny, w pełni zrozumiały koszt przemian rewolucyjnych, którego nie należy przeceniać: „nie było i nie może być rewolucji, podczas której zwolennicy starych porządków nie gardliwaliby o rozprężeniu, anarchii itd. Jest rzeczą naturalną, że masy (...) opanowują głębokie i szerokie wrzenie, głęboki i szeroki ferment, że stworzenie nowych podstaw karneści w pracy — to proces bardzo długotrwały”. (W. I. Lenin — „Dzieła Wybrane” t. II, Warszawa 1949, s. 373).

Jednym z warunków skuteczności samorządowej reformy gospodarczej jest relatywne pojmowanie przez pracowników pełnionych przez nich ról społecznych w zakładzie pracy. Wykonawca nie ma wówczas obaw, że gorliwie spełnianie życzeń klienta może go społecznie zdegradować, akceptuje swoją służebną rolę, ponieważ ani na moment nie zapomina, że po pracy sam będzie klientem. Podobnie pracownik, który — jako członek samorządu — podejmuje strategiczne decyzje, zobowiązując kierownictwo zakładu do ich realizacji, nie ma wówczas żadnych oporów przed pełnym podporządkowaniem się decyzjom swojego kierownika w codziennej pracy. Chodzi przecież o to, aby znieść wszystkie, w tym także psychologiczne, bariery dobrej roboty, aby solidnie wykonana praca dawała satysfakcję, a nie poczucie niedowartościowania i „frustracji”; aby świadomość antenacyjnego zarządzania własnym zakładem pracy oznaczała wzmocnienie autorytetu kadry kierowniczej wśród pracowników, a nie jego atrofie.

Problem stereotypów kulturowych funkcjonujących w świadomości pracowników może wydawać się mało istotny w obecnej sytuacji. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że wyłącznie prakseologiczne, wolne od ideologicznych lub doktrynalnych naleciałości, uzasadnianie przez pracowników pełnionych przez nich ról społecznych w miejscu pracy, jest naturalnym warunkiem funkcjonowania obiektywnych praw ekonomicznych. A o to właśnie w reformie gospodarczej przede wszystkim chodzi.

REFORMA SPOŁECZNA

wny, jako rezultatu szerszych uwarunkowań o charakterze społeczno-politycznym, jako względnie trwałego regulatora jego stosunków z innymi ludźmi w ogóle, a nie tylko w miejscu pracy.

Przy relatywnym sposobie pojmowania własnej roli społecznej w zakładzie pracy pracownik ma świadomość zmienności i wielości ról. Nie ma zwyczajną rozpatrywania pełnionej roli w kontekście pozaorganizacyjnych uwarunkowań, co ułatwia mu przechodzenie od jednej roli społecznej do drugiej. Elastyczności tej pozbawiony jest pracownik nierelatywnie pojmujący swoją rolę społeczną w miejscu pracy. Jeśli jest kierownikiem, nie przestaje się nim czuć po wyjściu z pracy, czuje się nim nadal, chociaż sytuacja społeczna ulega zmianie i inny wzorzec zachowań byłby w niej bardziej odpowiedni. Bywa też odwrotnie: pracownik przenosi wzorzec zachowań, adekwatny do sytuacji w grupie towarzyskiej lub organizacji społecznej, której jest członkiem, do sytuacji, w jakiej znajduje się on w miejscu pracy. W związku z tym trudno mu nieraz zaakceptować organizacyjne zależności i podporządkowania. Nierelatywny sposób pojmowania roli społecznej w zakładzie pracy jest z całą pewnością pochodną akceptacji poglądów skraj-

Gogola. Okazuje się jednak, że duch czynownika jest żywoty nad podziw i wcale nie ma zamiaru przejść do lamusa historii. Wystarczy przypomnieć sobie jak zbawienny wpływ na załatwienie pozornie beznadziejnej sprawy mógł mieć telefon z komitetu, lub mimochodem rzucana uwaga, że sprawa jest osobicie zainteresowany towarzyszy sekretarz. A więc „nie co, a kto”; przewrotny humanizm tej zasady najlepiej charakteryzuje nierelatywne pojmowanie roli społecznej wynikającej z podziału pracy.

W odniesieniu do stosunków wynikających z podziału uprawnień do podejmowania decyzji sytuację powyższą ilustruje stare zalecenie: „znaj swoje miejsce”. B. Franklin w swoich „Zasadach pocziwego Rysarda” obrazowo pouczał, iż „Uboży, który malpuje bogacza, jest, zaprawdę, równie szalony jak żaba, która się nadyma, aby zrównać w objętości wolowi”, a także: „Wielkie okręty mogą się zapuszczać na szerokie morza, lecz małe statki powinny się trzymać brzegów”. Przy takim podejściu apele o zwiększenie udziału załogi w zarządzaniu zakładem pracy przyjmowane są ze wzruszeniem ramion. Ani bowiem zwierzchnik nie ma zamiaru zrezygnować z części swoich uprawnień, ani podwładni nie zamierzają się o nie ubiegać. W atmosferze obojętności i pokor-

BOLESŁAW W. LEWICKI



Nasz profesor

Cieślaz słów najlepszych i najserdeczniejszych staje się nie do udziwnienia wówczas, gdy mamy je wyrazić wobec osób najbliższych. Takim zaś człowiekiem był nasz, był mój Profesor.

Odszedł nagle, w pełni lata. Porażeni tą tragiczną wiadomością jechaliśmy z najdalszych zakątków Polski, by nie wierząc jeszcze w nieodwracalne okrucieństwo faktu stanąć wśród tych, którzy przyszli pożegnać swego Profesora. Mistrza i Przyjaciela. To ostatnie słowo jednemu z wszystkich zebranych wokół Jego grobu, ludzi kilku generacji i wielu środowisk. Twarze tych, którzy zdolali przysięść, wyznaczały krag jego życiowej aktywności. Byli wśród nich ludzie nauki, sztuki, kultury, oświaty i wielu, wielu innych. Profesor Bolesław W. Lewicki był bowiem wszędzie tam, gdzie tętniło, bądź tliło się zaledwie, dążenie do poznania oraz coś, co nazywamy przeżywaniem sztuki i życia. Przy każdym zbiorowym czy indywidualnym spotkaniu z Profesorem rodziło się, zwłaszcza wśród młodych, przekonanie, że jest jednym „z ostatnich co tak poloneza wiodą”. Był bowiem Profesor wielkim człowiekiem, Humanistą, z wszystkimi implikacjami tego pojęcia.

Jednym z najpiękniejszych darów, jakie dało mi życie, był właśnie fakt, że na jego drodze spotkałem Profesora, że nazywał mnie swoją pierwszą uniwersytecką uczennicą i swoim przyjacielem.

Miał Profesor wielu uczniów, ich krag wyznaczały przede wszystkim miejsca Jego pracy, a więc najpierw Szkoła Filmowa, potem Uniwersytet, ale nie tylko. Potrzeba ciągłego aktywnego uczestnictwa w życiu publicznym była zamyślnym rysem Jego charakteru. Był zatem inspiratorem i uczestnikiem życia kin studyjnych i klubów filmowych, wykładcą Towarzystwa Wiedzy Powszechnej i innych stowarzyszeń, był wśród nauczycieli i młodzieży szkolnej. Wszystkich i wszystko traktował z taką samą powagą.

Nauka i popularyzacja wiedzy były w Jego życiu równorzędnymi pasjami. Te drogi w symboliczny sposób określiły, napisane jeszcze w latach 30. we Lwowie, dwie pierwsze rozprawy: „Budowa dzieła filmowego” i „Młodzież przed ekranem”. Dowodem tego pozostaje cała spuścizna pisarska Profesora, której wagi nie sposób ocenić jeno wydanymi książkami i naukowymi pracami. Dziesiątki tekstów — artykułów i esejów, rozproszonych po piśmiach i wydawnictwach całego kraju dopełniają w sposób niezwykle charakterystyczny cały dorobek twórcy. Zadaniem najbliższych uczniów i współpracowników Profesora pozostaje dziś zebranie tych tekstów w tom, który da wyraz sposobowi rozumienia i traktowania przezeń sztuki i życia.

Źródłem fascynacji Jego osobowością była bowiem nie tylko Jego wielka erudycja, głęboki, zaskakują-

cy częstokroć stosunek do kultury w ogóle, Jego niezwykła wyobraźnia, ale także reakcje na najróżniejsze przejawy życia. Każde spotkanie z Profesorem, to naukowe i to prywatne, kryło w sobie wielką niespodziankę.

Ludzi, z którymi spotykał się po raz pierwszy, zaskakiwał Profesor swym nieprofesorskim sposobem bycia. Naturalność i bezpośredniość, wyrozumiałość i dobroć, niezwykle poczucie humoru — to cechy, które skupiły się w jednym człowieku, tworzyły Jego niepowtarzalną w akademickim świecie osobowość.

Twórca polskiego uniwersyteckiego filmoznawstwa wytyczył dlań drogi działania na długie jeszcze lata. Dziś Jego uczniowie kierują placówkami naukowymi i dydaktycznymi w całym kraju. Powstawały i powstawać będą prace, których zaczęciem były myśli kiedyś przez Profesora sformułowane, czy jedynie, jako hipoteza, bądź pomysł, rzucane. Jego uczniowie, ci ze Szkoły Filmowej, tworzą dziś kulturę polską, Jego uczniowie ci z Uniwersytetu, dorobek tej kultury popularyzują — uczą w szkołach, pracują w instytucjach i placówkach kulturalnych.

Odszedłszy od nas, Profesor jest wśród nas. I jeśli, poza wiedzą, zdołał nam zaszczerpieć swe umiowanie sztuki i szacunek dla życia, to jest to Jego „wielkie zza grobu zwycięstwo”.

EWA NURCZYŃSKA

Człowiek interdyscyplinarny

Interdyscyplinarny — to sztuczne i bez wdzięku słowo nie pasuje zupełnie do Profesora, jaki został w naszej pamięci. Ale znów „renesansowy” brzmiał patetycznie i staroświecko, a więc znowu pozostaje daleko od sylwetki B.W.L. Niech więc będzie interdyscyplinarny — bo to słowo kryje jednak pewne znaczenia, jakie łączą się z jego działalnością.

Dziwacznictwo to brzmi, i ciągle jeszcze trudno sobie ostatecznie uświadomić, że już Go nie ma. Przecież wciąż mówimy o Nim w czasie teraźniejszym, jeszcze mamy w oczach charakterystyczną gestykulację i ruchliwą mimikę, słyszymy jeszcze zwyczajne pożegnania: „no, to zdzwonimy się...”. Nie, Już się nie zdzwonimy. Jeszcze tylko utrwalamy w sobie serdeczny obraz Człowieka pełnego humoru i temperamentu, zawsze entuzjastycznie usposobionego do nowych spraw, szukającego nowych znaczeń, nowych poglądów, nowego punktu widzenia na wiecznie tę samą sprawę — miejsce filmu w sztuce i w życiu osobistym człowieka.

Ze Lwowa, z Uniwersytetu Jana Kazimierza wyniósł na całe życie nie tylko poważne zainteresowanie filmem, ale przede wszystkim formację naukową i duchową. Sam czasami podrywał z galicyjskiej skłonności

do naukowienia wszystkiego co się nawinie — ale właśnie ta skłonność zaprowadziła Go z kolumn recenzentów na katedrę uniwersytecką. Uczeń Ingardena, wielbiciel Tatar-kiewicza, umiał w uprawianej dyscyplinie połączyć metodę naukową — z pogranicza filozofii estetyki — z lekkością pióra, gawędziarską swadą i otwarciem się na nowe propozycje. Nie na darmo dawał studentom w Szkole Filmowej na pierwszym roku studiów jako lekturę obowiązkową dla przedmiotu „podstawy sztuki filmowej” — esej „O szczęściu” Tatar-kiewicza. U podstaw wszelkiego działania i wszelkiego myślenia, związanego z filmem widział zawsze człowieka, w całym jego bogactwie i w całym uwikłaniu. To Jego pozorne odbieganie od tematu, ciągle uciekanie w dygresję, miało ogromne znaczenie dla formowania umysłów słuchaczy, a przecież nie było w tym nic z erudycyjnych popisów. Profesor zawsze równie chętnie dawał jak i brał wiedzę od każdego, uznając że prawda przemawia przez usta małuczkich także.

We Lwowie także zaczęła się druga uboczna i prywatna pasja Jego życia — w niespodziewanych formach owocująca w późniejszym czasie. W latach, kiedy współrealizował krótkometrażowe filmy dokumentalne i eksperymentalne, nazwane potem w podręcznikach historii filmu „awangarda lwowska”, rozwinęła się w nim namietność dociekania struktury obrazu filmowego. Wiele roczników studenckich ze Szkoły Filmowej wspomina z ciężkim westchnieniem prace nad analizą filmu, jakie wprowadził do szkolnictwa filmowego (nie tylko w Polsce) Profesor Lewicki. Zadania te polegały na żmudnym rozróżnianiu i rozpisywaniu partytur możliwie wybitnych dzieł filmowych w taki sposób, że wychodziły na jaw wszelkie chwyt, sposoby i pomysły przekazywania treści i formy filmu. Były to analizy wiodące w kierunku poznania tajników montażu pionowego; pozwalały dostrzec wielowarstwową strukturę dzieła filmowego, uwydatniały różnice między rzemiosłem i artystem.

Tak wykorzystywał Profesor swą pasję zawodową. A prywatnie... wszyscy znamy Jego namietność do fotografowania. Nie chodziło tu o fotografię ambitną artystycznie. Profesor pstrykał. Pstrykał zawsze i wszędzie, robił ciagi portretowe i sytuacyjne, fotografował swoich studentów, przyjaciół i współpracowników, w czasie rozrywki, podczas zdjęć, układał te zdjęcia według reguły montażowej — starał się stworzyć nową rzeczywistość, wykreować dobrze znanych sobie ludzi na bohaterów fikcyjnych zdarzeń i przeżyć, a co najważniejsze — odkrył to co najgłębiej ukryte w ich osobowości. Poszukiwania te łączył z coraz to nowymi próbami „zapisania” filmu, przez pozostawienie (na przykład) pojedynczych kadrów markujących tylko zasadnicze elementy montażu. Wewnątrz kadrowego. Te poszukiwania ustaty wraz z wejściem nowych metod audiowizualnych, pozwalających na posiadanie w domu lub taśmotece magnetycznego zapisu filmu, który można w dowolnej chwili i w dowolny sposób odtwarzać. Przeszkadzała Profesorowi strasznie konieczność korzystania z pośrednictwa aparatury projekcyjnej, którą nie można dowolnie manipulować.

Trapiła też Profesora inna sprawa związana z fotografią. Była to mianowicie kwestia opracowania systemu opisu zdjęcia w taki sposób, aby mogło ono stanowić prawdziwy dokument i źródło przyszłej wiedzy historycznej. Ubolewał nad niewiedzą i niedbalstwem, które powodowały pojawianie się mylnych podpisów pod zdjęciami w prasie, w wydawnictwach książkowych, tak popularnych jak i naukowych. Z właściwym sobie wigorem uragał tym, którzy nie potrafili zrozumieć jak ważną sprawą dla naszej epoki jest rzetelna dokumentacja ikonograficzna. Zupełnie niedawno wpadł na pomysł naukowego opracowywania prywatnych albumów ze zdjęciami. Przewidywał, że tego rodzaju praca może przynieść nie tylko ciekawe spostrzeżenia i odkrycia naukowe, ale także wiele zupełnie osobistych uciechy o charakterze plotkarsko-obyczajowym. Henni soit qui mal y pense.

Profesor Lewicki pisał o filmie zawsze — była to istota jego życia. Cokolwiek robił — było to skierowane na rozwój nauki o filmie, na rozwój kultury filmowej, na jak najszersze kształcenie i uświadamianie widza co do istoty sztuki filmowej. Wiedzę o filmie rozumiał szeroko, można by nawet powiedzieć — bez

granic. Stąd przeróżne dygresje i wypadki do innych dziedzin sztuki — zarówno w piśmi, w wywiadach — jak i w życiu. Niewątpliwie dygresjami były nawet długotrwałe okresy sprawowania funkcji administracyjnych, dyrektora WFO, dziekana, kierownika zakładu — nawet rektora. Najcięższą dygresją w Jego życiu była wojna i pobyt w obozie jenieckim. Zaraz po powrocie stał do pracy dla filmu i w filmie — trocne urzędniczo-organizacyjnej, ale przede wszystkim pedagogicznej. W Szkole Filmowej był dziekanem i rektorem, ale przede wszystkim wykładowcą, pedagogiem, który ucząc innych nieustannie uzupełniał i poszerzał własną wiedzę. To było imponujące, to poszerzanie się zainteresowań, umiejętność chwytania tropu nowego, ciekawego zagadnienia badawczego, umiejętność wykorzystywania całego zasobu wiedzy, wszystkich nabytych kiedykolwiek doświadczeń i umiejętności (nawet psirytanie, czy piosenkowanie przy gitarze) dla uzyskania nowego punktu widzenia na sztukę. Kiedy w końcu lat pięćdziesiątych opublikował swoją „basic book”, słynną „Gramatykę utworu filmowego”, uważał film za sztukę przyłiteracką. W ostatnich latach, wyzwoiliwszy się jakby z oparów i uroków semiotyki i strukturalizmu, powrócił do przekonywania o polifoniczności filmu, znajdował pokrewieństwa między dziełem filmowym i dziełem muzycznym, szukał znaczeń w czymś równie nieuchwytnym jak „nastroj”. Nie liczył już bitów informacyjnych w kadrze, szukał w nim raczej choćby instynktownej, niezamierzonej poezji.

A może przeszło dwadzieścia lat spędzonych na nauczaniu w Szkole Filmowej to też dygresja? Bo jednak zasadniczym powołaniem Profesora okazała się nauka uniwersytecka, badania naukowe, poszukiwania. Jego starania i upór sprawiły, że Uniwersytet Łódzki, jako pierwszy w kraju wzbogacił się o Zakład Wiedzy o Filmie (nieformalnie zwany zakładem siostr Lewitek...), prowadzony przez Profesora pod opieką uczennicy skrzydłami Pani Profesor Stefani Skwarczyńskiej. Potem już i inne uniwersytety przestały się wstydydzić nauki o filmie, zakład zamienił się w Instytut, a Profesor, choć na emeryturze, dojeżdżał ochotą na zajęcia do Gdańska, na Uniwersytet. Myślę, że te dwa tematy: dydaktyka w szkole i nauka o filmie na uniwersytecie powinny się szybko doczekać poważnych opracowań. Myślę też, że wiem kto to powinien zrobić.

Alle pół Polski zna Profesora z innej strony — jako zapalonego mówcę i pomysłodawcę, opatrzonego meza wszelkich przedsięwzięć, które mogły wpływać na ożywienie wokół filmu. Znają Go dyskusyjne kluby filmowe, zwłaszcza te, które prowadziły sensowną działalność seminarijną, znają Go i na pewno pamiętają bywały kin studyjnych z ich dawnymi dobrych czasów, pracownicy kin i ekspozytorzy Centrali Wynajmu Filmów, Filmosy, znają Go Towarzystwo Wiedzy Powszechnej, biblioteki, prowadzące działalność odczytową i rady naukowe rozmaitych instytucji i wreszcie młodzież szkolna — z myślą o niej rozpoczynał prace nad wprowadzeniem podstaw wiedzy o filmie do programów szkolnych. Jedną tylko instytucją nie mogła Go zwabić do siebie, choć teoretycznie ją akceptował — telewizja...

Profesor lubił rozmawiać — w rozmowie błyskał i grzmiał, eksploatował pomysły. Gdyby tak spróbował wcielić je wszystkie w czyn — jakąż to bogatą i ciekawą naukę o filmie mielibyśmy w Polsce. Ale nie wszystko dało się zrealizować, niektórych pomysłów nie umieliśmy podjąć, niektóre sam porzucił. A ponadto wołał rozmawiać o ciekawych sprawach, niż urzędować. Kiedy był rektorem w szkole, często wymykał się z gabinetu na pogaduszki do biblioteki, mawiając do sekretarki: „Pani Marysiu, jakby co, to ja tam...”

A teraz... chcę myśleć, że siedzi na pogawędce w Niebieskiej Bibliotece, a my mamy wiedzieć, że jakby co, to On Tam...

EWA NAGURSKA

Będę się starać, profesorze

Dziwnie nie przystaje do Profesora, Mistrza — jak go nazywaliśmy — czas przeszły. Był zawsze zwrócony ku przyszłości, ku nowym ideom, nowym koncepcjom naukowym, odkryciom. W książkach, któ-

re pochłaniał z pasją licealisty, szukał przede wszystkim zapowiedzi dni, które nadejdą, ziaren, które mogą zaowocować jutro. A przecież mocą jednego z licznych paradoksów, jakie charakteryzowały bujną osobowość Profesora, związany był ze światem, który powoli odchodził dziś w zapomnienie. Ze światem tradycji, wiedzy słonecznej, ciepłej, tworzącej między ludźmi mosty porozumienia i przyjaźni. Nie miał w sobie nic z naukowca-biurokraty, chłodnego zawodowca, systematycznie produkującego książki, rozprawy, referaty. Śladem świetnych mistrzów niedysyjszej humanistyki Profesor promieniował mądrością na co dzień, rozświecał myśl rozrzuconą, niczym Sokrates, zamieniając ateńskie gaje na łódzkie i warszawskie kawiarnie. Nie dbał o oficjalne plony, o dorobek liczony w tytułach i wolaminach. Miał świadomość, że przepływy wiedzy realizuje się w dialogu, w bezpośrednim kontakcie. Myślę, że w istocie przedkładał wielogodzinne dysputy nad mierzalne studenckim zegarem godziny wykładów. Tak naprawdę nie mówił do wszystkich, mówił do wybranych.

Miał umysł i duszę racjonalistyczną, uformowaną, jak tyłu innych z Jego pokolenia, z ducha tradycji francuskiej z jej kartezjańską logiką, montaignowską refleksyjnością i poetycką wyobraźnią. Kochał René Claira. Pamiętam — wstępowałam w swoje życie zawodowe jako asystentka Mistrza w Szkole Filmowej — współpracę naszą zaczęła się od rozmów nad „Pięknościami nocy”. Profesor umiał znaleźć w tym filmie mnóstwo zdumiewających piękności, całą mądrą dojrzałość francuskiego reżysera. Rozkładał film na części anatomiczne, śledził mechanizmy jego funkcjonowania i oddziaływania, a zarazem potrafił ocenić tajemnicę dzieła, jego duszę wymykającą się wszelkiej analizie. Mówił o Clairze rzeczy pasjonujące i to w epoce, kiedy działalność André Bazina zepchnęła w cień twórczość artysty. W słynnym niedgdyś a dziś już przebrzmiałym sporze o naturę kina: Clair — Renoir. Profesor opowiadał się po stronie Claira. W kinie s ukął kina, zmyslenia, konwencji, konstrukcji, formy, a nie rzeczywistości. Szukał jakby innego sposobu istnienia literatury, przez literaturę rozumiejąc świat kreowany przez człowieka. Wtedy myślałam inaczej. Wielbielka neo-realistu siłą rzeczy znalazłam się w orbie wpływu Bazina. Dyskutowaliśmy zacięcie całymi godzinami, przywołując na pomoc wszelkie możliwe argumenty. Czas zweryfikował niedysyjsze spory. Teraz wiem, że to właśnie Profesor miał, jak zwykle zresztą, rację. Jak Mistrzowi przystało, rozumiał po prostu znacznie więcej, niż my.

Z drugiej jednak strony dostrzegał w kinie tę magiczną nieomal zdolność zatrzymywania czasu w biegu, utrwalania kształtów zdarzeń, miejsc, twarzy. Pasjami robił zdjęcia, nie dbając wcale o estetyczną czy techniczną ich doskonałość. W tym przypadku interesowała go wyłącznie treść, sposób istnienia rzeczy i ludzi, niepowtarzalność wyrazu twarzy lub ekspresji gestu. Zbierał najrozmaitsze fotografie, wycinki, reprodukcje. Tworzył wizualny zapis naszych spotkań, klimatu, w którym żyliśmy i pracowaliśmy, brulion obiektywny i subiektywny zarazem. Z okrucich realiów budował całkiem własny świat, próbując ocalić pamięć czasu, który niepostrzeżenie dla nas, a nieuchronnie przemija. Pozbawiony instynktu posiadania rzeczy, zgromadził w swoim domowym archiwum niepotrzebne, zdaboby się, drobiazgi, pamiętki myśli i uczuć.

Pamiętam zajęcia Profesora w Szkole Filmowej. Przynosił ze sobą mnóstwo karteluszków, pokrywanych jemu tylko zrozumiałymi skrótami, strzałkami, cytatami. I z owych tajemnych szryfów budował wspaniały dyskurs, pełen swady i połotu, zaskakujących skojarzeń. Odwaga wyobraźni łączyła się w wywodach Profesora z potrzebą tadu i porządku. Lubł wykreślić i wzory, ujmował materię swych rozważań w prawidła i punkty. Dążenie do dyscypliny myśli kłóciło się z gestykulacją kapryśną, rozwichrzoną, barokową. Studenci ćwiczyli się w naśladowaniu mimiki i gestów Profesora, ale bez widocznych rezultatów. Było to niby łatwe i proste, a przecież niemożliwe do powtórzenia.

Mistrz był moim pierwszym szefem, szefem niezwykle — jak byśmy dziś powiedzieli — demokratycznym. Nigdy nie dawał odczuć swej przewagi, nie narzucał własnego zdania, nie traktował asystentów jak wasali.

Kiedy odchodzi człowiek nam bliższy, myślimy najczęściej o tym wszystkim, czego nie zdążyliśmy przez niedbałość lub lenistwo Mu powiedzieć, o oczekiwaniach, których nie spełniliśmy i nadziejach, które zawiedliśmy, o tym, czego nie da się już zmienić i naprawić. Im mocniejsza i bardziej gorzka jest ta świadomość niemożności, tym głębiej istnieje w nas człowiek, którego przecież już nie ma.

MARIA KORNATOWSKA

Wywoływanie sztuki

To obrzęd. To na pewno obrzęd. Wyraz niekoniecznie racjonalny. Raczej nieświadomość, że ktoś musi za nas porządkować, wykonać ten tajemniczy gest przywołania. Nam, co się wyobraża tworzyć.

Nie zawsze mówię o przeświadczeniu wewnętrznym. Bo jeśli nawet ta obrzędowość jest domysłem pojedynczym — to wystarczy jedynie trochę uwagi, aby poznać okrucieństwa zdarzeń i stworzyć jasny obraz obrzędu. Tego co utrwaliło się na zawsze. Przyjęte przez tych, co częściej tajemnicę poznali. A jeśli poznali — zapamiętali także tych, co stali na jej Przecież po latach Polanski zapytał mnie z nagłym ożywieniem:

— Czy profesor Lewicki dalej wykląda?

Jeśli mówię dalej językiem opisywanego tu przeżycia — w krótkim spojrzeniu — poczuł się uczestnictwem w tym samym obrzędzie. I po kolei jego mistrzowie: Bohdziewicz, Lewicki, Munk... Każdy z nich inny pomazaniec.

Bo jaka była obrzędowość profesora Lewickiego-człowieka?

Próbował usprawiedliwić niestałość w sztuce. Jakież to częste motywy jego przemówień, ezoterycznych seansów. Miał wielką wiedzę o czymś, co było nie do przekazania — wiedzę o sztuce. Opowiadał ją regułą? Niekiedy o nich mówił i pojawiała się reguła. Ale ta pewność karciała natychmiast jego szczególną świadomość. I zaraz też w przemówieniu pojawiały się dygresje; wewnętrzne wzburzenie nie dawało mu biec do okna, a palce obracały pęk kluczy lub niewielką monetę. To była raczej rozmowa z samym sobą: bo skąd ten nagły uśmiech, zaprzeczenie jakby, nie zakończony gest? Ciągłe znaki tego wewnętrznego napięcia, pasji poznawania i nieustannej wiary w relatywizm.

Potem jakby ktoś przerzucił ostrość obiektywu i my: albo o nas zapomnieli albo pozwalali nam być. Nam, gapiom, płacił przez chwilę miedziak minodarii i znów mówił zapatrzonemu w drzewo, które miało silny pień, od którego wyrastał konar, od niego gałązka, od gałązki pęd, a od pędu liść... Obraz jego płynących myśli, uderzył głęboko.

Choć to nie zawsze było tak, nie zawsze uderka. Częściej żart był przewrotnością jego myśli.

Jemu zanosłem swoją pierwszą nrobie twórcą i od niego usłyszałem cierpkie: nie! Czy rzeczywiście zostało wypowiedziane... Nie zdążyłem powiedzieć słowa. Ale już narastała wątpliwość, dojrzewała niepewność. Na koniec byłem zdecydowany na wszystko. Nie zdążyłem jednak powiedzieć głupstwa; usłyszałem: — tak! Nie pozwolił mi przegrać pierwszej próby. Zartem otrzymałem najważniejszą lekcję: trwania i uporu.

Jaka była ważniejsza część tego obrzędu? Był chyba na początku właścicielem jakiejś tajemnicy, może mitu... Właścicielem kapryśnym i zardym strażnikiem. Jakby sam chciał wyznaczyć czas kiedy tajemnicę podzielić. Skąd jednak wiedziałem, że nie domyśla się tego czasu i że poznać go nie może. Ale łatwo rozpoznać chwilę kiedy czas się dokonuje; łatwo wypatrzyć uśmiech wtajemniczenia i łatwo zrozumieć, że tajemnica została podzielona. Uśmiechu Buddy nie nosił już sam.

Był także pierwszym w tej alchemicznej pracowni i znów taki nieśmiały. Raz przyjaźny czarodziej, kiedy indziej duch przewrotny. Zaciekawiał Zwodził i kpił.

Może także przewodnik. Pomagał nazywać rzeczy, już nazwane brzdą do ręki, próbować ich wytrzymać i sprawności. Pod jego — przewodnika — okiem.

Mit, tajemnica, przewodnik — zalety krag słów. Dopiero potem wiadomo, że to powtarzający się obrzęd. Powitanie na progu. Wprowadzenie... Wielkie ognio.

Nie mówimy, że odszedł. Nie może.

HENRYK KLUBA

SPRSTOWANIE

W artykule dr Ewy NURCZYŃSKIEJ „PO ROKU” w numerze 39 „Ogłosów”, z przyczyn niezależnych od autorki myślenie wyodrębniłem imiona reżyserów filmów. Wnioś być Marceli Łoziński, Antoni Krauze, Janusz Zaorski i Roman Zatorski. Ponadto zniekształceniu uległy dwa zdania. Podajemy je w poprawnym brzmieniu. „Ow ilek znalazł wyraz — wespół czernej ramie, której twórcą nadał postać osobistej dziennika z wiosny 1981 roku”. „Artysta, na którego biografię czas miniony zaciążył szczególnie, miał pełne prawo komentarz dopisać i być może u jego źródła wcale nie wspomnianych lek się znajdował”. Autorka i Czytelników za powstałe błędy przepraszamy.

ANDRZEJ ŁUCZENCZYK

Kolorowa stypa

Bujany z rozmachem sypnął w róg dołu jeszcze dwie szufle wapna i przysiadł, klapnął obok mnie na odwróconej łopacie. Dyszał ciężko i uderzywanie, o trzydziści parę lat ciężiej, niż ja.

— Zapalcie — podesunąłem mu papierosa. — Lepiej byłoby kielicha, spłukałoby to draństwo, ale nie pomyślało się...

Nie patrząc wygmerał z paczki -apierosa i drżącą ręką przysunął go do żarzącego się końca mego. Zaciągnął się i zakaszał, rozkaszał się niepowstrzymanie i niegłośno jak ja przed chwilą. Dusilo, drało w gardło i w piersiach od dymu, ale i zabijało ten słodkawy i mdły smak wapna, na spluwanie którego nie starczyło już śliny.

— W dzień, w gorąc, byłoby nie do wytrzymania — odezwał się Bujany, jak tylko uspokoił kaszel.

— A przy tamtym to już zupełnie...

Spojrzelismy w bok, na odległą o jakieś pięćdziesiąt metrów jasno oświetloną szklarnię, skąd niosło się przytłumione parkotanie traktora.

— Musieli tak zapalać wszystkie światła? — przeciągnął półgłosem Bujany. — Księżyc prawie w pełni, szkło niby i grube, ale tyle światła, ile do takiej roboty potrzeba, przepuściłoby...

— A w cieniu, pod ścianami, to na czworakach mieliby szukać?

Nie igiel szukać, leży wszystko jak na dłoni. Księżyc wystarczałoby w zupełności... — powiedział jakby już tylko samemu sobie Bujany, patrząc w niebo. Od tego patrzenia w niebo i gadania o nim ktoś dał mu kiedyś przezwisko Bujany, które przylgnęło do niego i tak jakoś pasowało, że aż głupio robiło się na myśl, że można byłoby odezwać się do niego inaczej.

— Opowiecie coś?

— Wyobraź sobie coś takiego... —

JERZY WALENCZYK

KIEDY SIĘ BĘDZIE

Kiedy się będzie ziemia zarywać, trawą i zwierem wyrzys paleolit. I geologii skrzecząca Niniwa ostrzeże nas skrzykiem naszej dołi.

Kiedy zawiódą przyjaźnie serdeczne, a piasku zgryzł nas wznieście ponad, kiedy będziemy lewitować, nie bądź Muzy ma zdziwiona.

Jakże uniknąć zapadni i urwisk, i dołów wilczych, zapadni ducha, kiedy wątpliwość czyni nasze wskrzesza? Jak poznać Boga, po znaku?

Jakież wielkości byłyby tu lepsze, kiedy się będzie pośród krzewów kłócić dzika jagoda z hierarchią Czyśca?

Błogosław tedy słońce lipca, gdy będziesz swe marzenia mlić, jak chłop, co czeka, i koza, co skacze, między drzewami, jakby minęły piosenki prostace. Cóż zaufanie?

LONDYŃSCY GOŚCIE CZYLI JAK TO SIĘ ROBI

Na jeden tylko wieczór zawiązał do Łodzi London Contemporary Dance Theatre — Londyński Teatr Tańca Współczesnego.

Miłośnicy sztuki choreograficznej, których tak licznie gromadzą zwykłe Łódzkie Spotkania Baletowe, a którzy także i tym razem do ostatniego miejsca wypełnili salę Teatru Wielkiego, przeżyli tego wieczoru wiele artystycznych emocji i tych estetycznych przeżyć, które rodzą się w kontakcie z każdą głęboką wizją indywidualnego twórcy, wspartą precyzją jej zespołowej realizacji, a zatem z równie głębokim profesjonalizmem wykonawczym.

Londyński Teatr Tańca Współczesnego działa dwanaście lat. Powstał on na fali powszechnych w czasie jego narodzin zainteresowań nowymi stylami tańca i kierunkami sztuki choreograficznej. Dyrektorem artystycznym i naczelnym choreografem zespołu jest Robert Cohan — niedługo uczeń i partner słynnej Marthy Graham, a następnie wielce ceniony twórca indywidualnego stylu choreograficznego, którego owoce oglądali publiczność wielu scen i festiwali. Wszystkie trzy układy zaprezentowane przez londyńskich tancerzy w czasie ich „łódzkiego” wieczoru (Masque of separation — Myth, Eos Class), są dziełem tego twórcy, którego zasługi dla angielskiej sztuki tańca przyniosły mu oprócz wielu nagród artystycznych także tytuł Honorowego Obywatela Wielkiej Brytanii.

Dwanaście lat wyżejonej, zespołowej pracy Londyńskiego Teatru Tańca Współczesnego przyniosło arcydzieła

zaczął po chwili Bujany. — Pełnia trochę to rozprasza, ale przy nowiu, albo zupełnie bez księżycy, kiedy tylko gwiazdy... Niebo granatowe, ciemnogrnatowe, na nim jasno świecą gwiazdy. A gdyby tak — niebo czerwone? Co? Jak to widzisz? Czerwone, ciemnoczerwone niebo i świeczka gwiazdy?

— Czerwone?...

— Nie potrafię opowiedzieć ci tego koloru, nie takie czerwone jak wstażka czy cegła, ale... tak, właśnie ciemnoczerwone. Ale to tylko nocą. Bo w dzień... Co myślisz o niebie zielonym? Takie zielone, zielone niebo...

Traktorek zaparkotał głośnie i wyjechał ze szklarni. Podnieśliśmy się i patrzymy, jak z wygaszonymi światłami jedzie w naszą stronę. Było widno, nie potrzebował światła. Widzieliśmy, że Głazek prowadzi, a Mietek idzie parę metrów z tyłu za skrzynią. Zagraniczny dwukółowy traktorek z kierownicą podobną do rowerowej, tyle, że cholernie długa i inaczej zamontowana. Głazek prowadził przyczepkę pod dół i zgasił silnik. Ruszyliśmy się z Bujanym i wszyscy czterej zebrałiśmy się przy skrzyni.

— Ile? — zapytałem po chwili. — Pięćdziesiąt — odparł Głazek. — Jeszcze dziesięć kursów. Nie brałiśmy więcej, żeby po drodze nie spadały.

Ostro, nie do pomyślenia ostro zagrał Midziak. Nie przypuszczał naczelnik, że takie zaganienie może w ogóle być, bo inaczej nie tylko nie wychylałby się, ale jeszcze bezwzględny kredyt Midziakowi by załatwił, choć ten sam mógłby dawać kredyty nie mniejsze niż bank. Najpierw harował od świtu do nocy i u siebie, i gdzie tylko się dało, później zapożyczył się też gdzie tylko się dało i postawił szklarnię. Po paru latach drugą, a teraz, parę miesięcy temu

— trzecią. Już za nowego naczelnika rozpoczął starania o budowę trzeciej szklarni. Naczelnik powiedział — nie. Stawiać oborę i roz-wijać hodowlę — jak najbardziej, ale jeszcze jedna szklarnia i goździ-ki — niech to sobie Midziak z głowy wybije. Midziak nie z tych, co czyjes „nie” znaczy i dla nich „nie”, nie rozpedzał się dopiero, ale był już okrzepły, a daleko za sobą miał jeszcze te lata harowy od świtu do nocy — i zanim się naczelnik obejrzał, szklarnia stała. Zakreślił się naczelnik i łupnęł Midziakowi dwa miliony wzbogacenia z przyrzeczeniem, że to dopiero początek. I wtedy Midziak zagrał tą zagrywką nie do pomyślenia; bez szemrania zapłacił co trzeba i oświadczył, że zakłada hodowlę. Zaniósł nawet odpowiednie pismo, a jeszcze parę takich samych pism gdzieś tam powysyłał. W szklarni kwiatów jeszcze nie było, ale przyszykowane pod kwiaty wszystko akuratnie. Wynajął Midziak dwa samochody i ruszył po wsiach. Wyjechali wczesnym rankiem, wrócili pod wieczór. Nie targował się Midziak, płacił, żeby kupił. I na wpół z nawozem wymieszana ziemia pod kwiaty, odrobina słomy ledwie przprószone, wpuścił do szklarni pięćset prosiąt. Wpuścił je przedwcześniej pod wieczór, a dziś przed południem był już koniec. Siedmiu weterynarzy oświadczył przez naczelnika wezwanych nie mogło nie dziać i mogli tylko przyglądać się, jak coraz więcej i więcej prosiąt wyciąga się i nieruchomieje. Szybkie dyszenie i cienie pochrząkiwania, a potem coraz mocniejsze bzyczenie much. Po południu हुआ już w szklarni jak w jakimś wielogłuchym szklanym ulu. Weterynarze wystawili odpowiednie papiery i odjechali, naczelnik jeszcze został. Zaczął bakać, żeby uprzątnąć to wszystko jak najszybciej. „Uprzątnąć...” — popatrzył na niego Midziak. — A może poczekałiśmy, aż przyjadą z gazet, może nawet z telewizji?...

Od paru dni robiliśmy u Midziaka, ryliśmy w obejściu i poza nim rowki pod drenaż; zaraz po południu

Kiedy się będzie czynów księga pytać, powiedz, że czynów żadnych nie ma, że zasuszone są pokrzywy ziela. Kiedy spojrzysz za siebie, co poza?

Czy nosorożec, czy też gnosis? Jakież poznanie, czy przez analogię, przez cechy wspólne? O, wicie bogowie.

Jakież poznanie ponad zębem, co jaszczur gryzie, złudzenia wielkości? Sztuka, co nazbyt jest uwidoczniona, niech się otrząsa ze znamion czeluści.

Czym byłbyś, funkcją klasyfikacji, co wielokrotnie błędy przynajmniej? Błędy hierarchii, nie bądź pewnej racji, odpowiedz zatem, tedy czy któryś?

Gdy chytrósł bywa pragnieniem wolności, czym może być ograniczenie? Kiedy się będzie urwisko zarywać, my lewitujmy wżwz, ponad i wyżej.

Lekkością wicie lewitujmy wobec, niechby i jako zgorzkniałe dmuchawce. Nad ziemią szara bywajmy latawcem, jaką nadzieją może być dno urwisk?

Chyba, że skrzyp tu rośnie albo fiolet-oseł, jaką nadzieją, chyba że elekcja. Cóż, nie chcesz kokietować piekła, też idzie może... Nie tedy,

warsztata trzy tematy, lub raczej trzy pojęcia, hasła, słowa-klucze: mit, sen i prace. Trzy zrealizowane przez niego układy to owoc własnych skojarzeń, przemyśleń, refleksji, to choreograficzny wyraz własnej interpretacji tych pojęć. Cohan interpretuje je z całą świadomością ich wielkiej prostoty i równie wielkiej złożoności i tym właśnie cechami jakże przecież ambiwalentnymi naznaczone są jego choreograficzne wizje i realizowane układy.

Układ pierwszy „Masque of separation (Myth)” to zdefiniowane językiem tańca pojęcie mitu. Mit-absolut egzemplifikowany jest tu mitem o tym jak z chaosu, ze wszystkich jego elementów, wyodrębnić się świat. Dynamiczna muzyka Burt'a Aleantary znakomicie ilustruje dynamiczny charakter wszelkiego działania się, stawiania i powstawania ładu. Autor scenografii Norberto Chiesa wzbogacił wizję choreografa znakomitym plastycznym kształtem omawianego dzieła. Proste formy plastyczne na naszych oczach aż przerafinowanie subtelny muzykami. Dzieło choreografa, muzyka i scenografia wspierają autor oprawy świetlnej tego układu John B. Read. Światło stało się elementem plastycznym obecnym w tej kompozycji niemal dotykalnie. Było częścią i składnikiem dzieła. Twórcy jego zamysłu i tancerze — realizatorzy ich wizji przekazali nam swoją interpretację pojęcia mitu sugestywnie i bardzo subtelnie. Jednocześnie w odbiorze choć przecież pozostawiając widziwio margines na jego własną refleksję i interpretację. Wśród wykonawców wyróżniali się Sallie Estep (Chaos), Philip Taylor (Smierć) i Patrick Harding-Imer (Wojownik).

Drugi z prezentowanych układów zatytułowany „Eos” skomponowany został na podobnej zasadzie twórczej, w myśl której dzieło jest syntezą dźwięku, tańca, barwy i światła mo-

przyszedł do nas i zapytał, czy chcemy zarobić ekstra. Daje na łapę po dwa tysiące, ale do jutra rana nie chce widzieć śladu po tym, co w szklarni. Twardo mówił i twardo patrzył w oczy, ale czuło się wyraźnie, że gdyby odmówić, to dopiero po chwili odwróciłby się i odszedł. „Zrobicie?” — a kiedy tylko przytaknęliśmy, sięgnął po portfel: — od razu pięć, żebyście jutro rano... żebyście...

— Zejdzie całą noc — odezwał się wreszcie półgłosem Mietek. Patrzył na kupę wapna (przwieziono je grubo przed wieczorem, zanim jeszcze zaczęliśmy kopać) i na przysypiane już nim dno dołu. — Dobrze. Tak, jak mówiliśmy — warstwę wapna i warstwę... Tego, co tu jest, wystarczy na jakieś pół warstwy... — zakrzuszył się i zaczął spłukać.

— Zapal — poradziłem mu. — Po-może. Najlepiej byłoby spłukać, ale nie ma czym... —

— Ech, głupie waly... — mruknął Głazek i przeszedł parę kroków tam, gdzie złożyliśmy bluzy. Kiedy wyprostował się, w jego ręku lśniła butelka. Prawda, Głazek; można się było spodziewać, że coś tam ma, pił już przecież codziennie.

— Niewiele tego, półbłwa, ale dobre i to — powiedział, siadając na brzegu dołu i zwieszając nogi. Posiadaliśmy w rędzie obok niego. — Od siebie zaczynam i na sobie chciałbym zakończyć — dodał niby to żartobliwie.

Ulga przeszła przez gardło i zaczęła rozchodzić się po całym ciele. — A Bujany — odezwał się, kiedy butelka wróciła z powrotem do Głazka (koryśał nią pod światło, patrząc na przelewającą się wódkę). — Bujany mówił o czerwonym niebie...

— Co? — Jakby to wyglądało, gdyby niebo było czerwone... —

— Ciemnoczerwone — przerwał mi Bujany. — Ale tylko nocą. Bo w dzień — zielone. Takie zielone, zielone...

— Bujany... — podniósł po chwili głowę Głazek — a trawa... niebieska?...

Wstał, a my za nim.

z przyczulka, mając czasu furę, przed sobą, za sobą, może słusznego, może błędy. Częstując nas kawą czy ogórkiem na sejmiku sieradzkim.

Jakąż nam elekcję? Może Apolla nowego wybierać, wasa zakrecać imć mości Szargana? Która nam Muza bardziej ukochana?

Szlacheckich łbów łysiny spod minionych dni? Kiedy się będzie Etna dźwić, że Empedokles na dno jej nie skacze, Pompei ziela jakiego przyczynić?

Czyżby piosenką ją przybrać prostaczą? Z dna wyrósł, czymże, skrzypleniem żurawia, ścieżką czy gruszą, co kolce wydziwia? Z dna wyrósł, czymże, bokiem przejść czy ponad?

Czyżby tym była Epoka dziwiona? Ze tak okrznie? I że z dna, tak ledwo?

Scholarzyka świętego Tomasza z Akwin, niech nam uciechy sieradzkiej przysparza. Serdecznej geografii cóż ty zawini? Cóż kropia atramentu? Z tego kalamarza?

Niech się klasztory sprzecozają ascezą. O co, o to, co ponad, o to, co bokiem? Jak wrona, co siedzi na miedzy. Między Epoką a Epoką.

Czerwiec 1978

delującego kształt plastyczny. I znów za sprawą wszystkich twórców tego układu mogliśmy wraz z nim szukać skojarzeń zrodzonych z bezsenności: Tancerze stworzyli tu znakomite kreacje abstrakcyjnych pojęć bólu i uderki. Słusznie rozumiejąc intencje choreografa, ani przez chwilę nie starali się tworzyć postaci. Byli projekcją bezsenności, wizją zjaw i upiorów beczelnych i dręczących. Twórcami tego układu obok Roberta Cohana są Barry Guy (muzyka), Barney Wan (scenografia) i John B. Read (światło).

Wszystkim zainteresowanym tajemnicą warsztatu twórców Roberta Cohana i jego zespołu londyńscy goście w trzeciej części wieczoru pospieszyli z odpowiedzią na pytanie: jak to się robi, prezentując układ zatytułowany „Class”. Układ ten był jakby skróconą prezentacją codziennych ćwiczeń zespołu. Londyński Teatr Współczesny zaprezentował tu przede wszystkim wspaniałą koordynację ruchu, perfekcję i precyzję w wykonywaniu podstawowych zadań ruchowych i własną ewolucję techniczną. Tajemnica przestała zatem być tajemnicą, a podstawą sukcesów tego zespołu okazała się być zupełnie jasna i zrozumiała. Tkwi ona bowiem w znakomitym wręcz porozumieniu twórców myśli inscenizacyjnej i koncepcji wszystkich układów z ich wykonawcami we wzajemnie pełnej identyfikacji artystycznej. Drogę do swojego obecnego stylu i poziomu zaprezentowali angielscy tancerze w układzie skomponowanym także przez Roberta Cohana do muzyki Johna Kellehora, w scenografii Chartera i układzie świateł Johna B. Reada.

Tak to się robi — chciałoby się powiedzieć raz jeszcze. Tak właśnie.

EWA PANKIEWICZ

ODGŁOSY 9

Z PROŚBĄ O CIERPLIWOŚĆ

(rozmowa z TADEUSZEM KOZŁOWSKIM
kierownikiem artystycznym Teatru Wielkiego)

Teatr Wielki ma nowego kierownika artystycznego. O kolejnej na tym stanowisku zmianie, będącej oczywistym skutkiem rezygnacji z tej funkcji Janusza Cegieli, informowała już prasa codzienna. My zaś, wierni tradycji prezentowania naszym czytelnikom sylwetek i programów działania szefów łódzkiej sceny operowej, poprosiliśmy o rozmowę nowego „pana na Teatrze Wielkim”, którym od kilkunastu dni jest Tadeusz Kozłowski.

Bywalcy Teatru Wielkiego i cały jego zespół znają Tadeusza Kozłowskiego od dziesięciu już lat. Tyle lat bowiem związany jest on z łódzką sceną operową jako dyrygent i szef orkiestry. Nie jest zatem Tadeusz Kozłowski człowiekiem zupełnie w tym teatrze nowym: być może fakt, iż łączy go z tą sceną tak mocno utrwalone już więzy okaza się czynnikami sprzyjającym ponownym narodzinom nlezbędnej Wielkiemu ciągłości artystycznych działań.

— Te moje z Teatrem Wielkim związki mają dla mnie podwójne znaczenie i przyznam, że gdyby nie one, nigdy nie przyjąłbym tej w oczywisty sposób atrakcyjnej dla każdego dyrygenta operowego propozycji. Waga jaką przywiązuję do tych związków wynika z faktu, że lata pracy w tym teatrze zaowocowały poza rozwojem umiejętności warsztatowych całym szeregiem obserwacji i wniosków. W ciągu dziesięciu lat swojej tutaj pracy miałem sześciu dyrektorów i czterech kierowników artystycznych. Pamiętam najlepsze i najgorsze dni tej sceny, wraz z całym zespołem przeżywałem jej kolejne wzloty i kolejne upadki. Dziesięć lat pracy tutaj to świetna szkoła! Obserwowałem różne style pracy, jawiły się przede mną różne — zależnie od osobowości twórczej i upodobań artystycznych moich poprzedników — wizje teatru operowego. Dokonałem w tym czasie tyleż znakomitych pociągów organizacyjnych, ile oczywistych błędów z góry skazujących kilka przedsięwzięć na kompletne fiasco.

— „nie przeciwdziałal pan tym, ostatnim?”
— Nie zawsze mogłem, nie zawsze też byłem pewny swoich racji. Zresztą wie pani, u nas pewność daje dopiero premiera, a jeszcze ściślej mówiąc — publiczność. Nasz teatr nie zawsze pracował dla niej, a to przecież ona jest wyłącznym adresatem naszych działań. Wszystko co robimy ocenia publiczność, stąd też i moje indywidualne wewnętrzne przypuszczenia i przekonania sprawdzały się, bądź nie, dopiero w konfrontacji z publicznością. Powiem jednak, a nie jest to próba epatowania pani czytelników swoją bezkompromisowością, że zawsze miałem swoje zdanie, choć i ono nie zawsze musiało być słuszne. Mówiąc krótko: tu naprawdę nie ma mądrych, a już z całą pewnością nie ma mądrych absolutnie, nie ma patentów...

— Jest jednak jednoosobowa właściwie odpowiedzialność za całokształt działań i efektów artystycznych...

— I chyba tak właśnie być powinno. Powiem więcej: nie może nas z tej jednoosobowej odpowiedzialności artystycznej zwalniać

żadna rada ani kolegium. Jeśli jednak przyjmujemy, że odpowiedzialność jest sumą (w moim przypadku wcale nie ma!) poważnych obowiązków, to moim zdaniem człowiekowi obarczonemu, takimi obowiązkami, muszą być dane pewne prawa. One także są warunkiem spełnienia stawianych nam wymagań. Podjąłem się tych obowiązków i będę się starał wywiązać z nich możliwie najlepiej, ale nie zrezygnuję z żadnego z przysługujących mi praw. Tu zresztą wchodzimy na grunt rozważań wokół demokracji w sztuce i jeśli znaleźliśmy się na nim, to powiem od razu, że jestem jej zdecydowanym przeciwnikiem. W tej kwestii opowiem się stanowczo i jednoznacznie za autokracją. Sztuka jest niewdzięcznym dla wszelkiej przeciętności terenem i pozwala utrzymać się w swoich dziedzinach jedynie najlepszym, co oczywiście nie znaczy, iż nie można zarządzać jej instytucjami w sposób prawdziwie demokratyczny, ale to wymaga zrozumienia prawdziwego sensu i funkcji tych instytucji. Chciałbym by teatr był demokratycznie zarządzany jako instytucja kultury i pracował z pełnym zaangażowaniem dla kompetencji i najlepszej woli człowieka — jednoosobowo, jak pani powiedziała — odpowiedzialnego za jego kształt artystyczny. W dobie porozumień i tu potrzebne jest porozumienie i zrozumienie. Bardzo na to liczę. Znamy się z zespołem Teatru Wielkiego już dziesięć lat, mam świadomość jego zalet, możliwości i wad. Zespół zna mnie, moje umiejętności i słabości i wymagania i myślę, że ta wzajemna zażyła znajomość bardzo nam wszystkim pomoże. Zespół nie musi się lękać „nowego”.

— A czy pan niczego się nie boi?

— Czy się boję? Mój zawód, a teraz i funkcja, nie są zajęciem dla lekkich. Skłamałbym jednak, gdybym powiedział, że nie mam żadnych obaw. Najbardziej boję się braku cierpliwości i o cierpliwość chciałbym prosić wszystkich zainteresowanych naszym teatrem i jego właściwym, wysokim poziomem, a więc publiczność, krytykę, władzę i sam zespół teatru. Bo trzeba wreszcie uświadomić sobie tę oczywistą prawdę, że teatr operowy nie da się „zrobić” w ciągu roku czy nawet dwóch



Fot. R. Łucyszyn

lat. Ostatnio wszyscy byli bardzo niecierpliwi.

— A może mieliśmy prawo do niecierpliwości, może miało prawo niecierpliwić nas i drażnić to stałe załamywanie się tak pięknie przecież rozwijającej się niegdyś linii artystycznej Teatru Wielkiego?

— Proszę pani, to co dopiero z perspektywy czasu okazało się „pięknie rozwijającą się linią”, a co było okresem największej świet-

ności naszej sceny, trwało przecież kilka lat. W ciągu tych kilku lat nad kształtem Teatru Wielkiego pracowało z zapamiętaniem kilku tych samych przez owe lata ludzi. Zmiany jakie następowały później nabrały zgoła sportowego tempa, które w sztuce okazuje się zubożające. Przyczyną zerwania tej linii, i tego, że każdy z obejmujących kierownictwo artystyczne Teatru Wielkiego zaczynał właściwie od zera, była ta niestanna sztafeta dyrektorów i tem- po jakie im narzucało. Jeśli bowiem chodzi o programy i wizje, to przecież wszystkie były atrakcyjne i godne uznania, żaden z tych programów nie miał jednak szans pełnej realizacji. Tę przyczynę uważam za najważniejszą, choć oczywiście były i inne dla których nasz teatr tak często „zapadał na zdrowiu”. Raz jeszcze więc wszystkich proszę o cierpliwość, która przecież wcale nie musi oznaczać zbyt- niej wyrozumiałości dla błędów. Realizacja każdego programu wymaga właściwego dia- stornia jego trudności czasu. Tu niczego nie można zrobić szybciej niż można.

— Jaki jest pana program?

— Chciałbym wrócić do najlepszej tradycji naszego teatru. Chciałbym, by był to teatr, do którego tłumnie jak niegdyś przychodzić będzie łódzka publiczność. Ten teatr ze względu na stosunkowo wysoki stopień trudności swojej sztuki winien być bardzo atrakcyjny. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby był bulwersujący. Chciałbym po prostu by nikogo nie pozostawiał obojętnym, chciałbym też by był to teatr dobrych przedstawień, a nie tylko dobrych wykonawców wokalnych, muzycznych, czy choreograficznych, chciałbym, by każdy znalazł w nim coś dla siebie. Od pierwszego stycznia przyszłego roku będziemy mieć stanowisko „głównego reżysera”. Biorąc pod uwagę fakt, iż zgodził się je objąć twórca tak w dziedzinie reżyserii operowej doświadczony jak Guram Meliwa, jestem spokojny o wysoką rangę teatralną naszych przedstawień. Proponuję współpracę z naszym teatrem przyjęło wielu interesujących dyrygentów. Plan repertuarowy mam już opracowany na dwa lata łącznie z obsadami. Oby tylko udało mi się go realizować...

— Czy boi się pan jakichś przeszkód?

— Niestety wyobrażam się sobie, ponieważ jednak są one w mojej wyobraźni dosyć jesz- cze mgliste, a z oczywistych względów nie chciałbym by się skonkretyzowały, więc — jeśli można — nie mówmy o nich, żeby nie zapeszyły.

— Czego panu życzyć?

— No właśnie tego, żeby się owe przeszkody nie skonkretyzowały, a poza tym dobrej ze wszystkimi współpracy w atmosferze jak to się mówi, wzajemnego zrozumienia. I hartu ducha.

— Życzymy więc.

Rozmawiała:
EWA PANKIEWICZ

KOLEJKA PO MLECZKO

Na godzinę, może na pół przed otwarciem wystawy przed Salonem BWA na Piotrkowskiej zebrał się spory tłum. Jedni oglądali rysunki przyklejone do szyby inni czekali na otwarcie drzwi. Przechodnie przyzwyczajeni do kolejek, zobaczywszy zbliżające się wyhamowywali handlowy trucht, zatrzymywali się i — jak zwykle w takich wypadkach — pytali: Co będzie?

Mleczko — odpowiadał zgodnie z prawdą ci, którzy przyszli na wernisaż znanego i lubianego rysownika. Żadna ekspozycja — mówił otwierając wystawę dyrektor BWA — nie uzbudziła w Łodzi takiego zainteresowania. W niewielkich pomieszczeniach przy Piotrkowskiej 86 — tłoczno, duszno, gwarno. Nie jest to dobra sceneria do rozmowy z autorem. Głos mego rozmówcy z trudem prze- bija się przez rozmowy, śmiech.

Andrzej Mleczko proponuje, byśmy rozmawiali na zapleczu Salonu BWA. Zaplecze, to półmetrowy korytarzyk prowadzący do toalety. — Nie ma rady, Niech pan siada — zaprasza mnie Autor, wskazując sedes. — Dla siebie przyniosłem krzesło. Jesz- cze w takich warunkach nie udziela- łem nikomu wywiadu, ale nieważ- ne.

— Możemy zaczynać? — pytam

włączając mikrofon.

— Możemy!

— Jakiego typu reakcje chce pan wywoływać swoimi rysunkami?

— Zyczliwość. Chciałbym być ży- cieliwie przyjmowany, choć nie mam pretensji, nie mam zupełnie żalu, gdy moje rysunki kogoś irytują, złością, drażnią, gdy ktoś je uważa za nie- przyzwoite. Chociaż staram się za- wsze, by nie przekraczały granicy do- brego smaku. Granica dobrego sma- ku jest zresztą dyskusyjna, bo rysun- nek może być wulgarny przez samo- to, że jest na przykład źle narysowa- ny. Rysunek bardzo śmiały może być po tej dobrej granicy smaku w mo- mencie, kiedy jest ładnie, perfekcyj- nie narysowany.

Nie wiem, czy pan widział wysta- wę Picassa, która niedawno jeździła po Polsce. Była to wystawa z pun- ktu widzenia tak zwanej moralności, tak zwanej przeciętnej moralności — perwersyjno-nieobyczajna. Ale ponie- waż robił to człowiek, który rysował z ogromną maestrią, dla którego kreska nie miała żadnych tajemnic, a w ogóle warsztat plastyczny miał opanowany w stopniu doskonałym, w związku z tym to wszystko było do przyjęcia. Wydaje mi się, że ta ba- riera jest to jak coś zostało nary- sowane, a nie to, co na obrazku się

znajduje. Nie ukrywam, że niektóre sprawy związane z obyczajowością i ze sferą... jak by to powiedzieć — intymnością, bawią mnie dość mocno, tak samo, jak bawią mnie sprawy związane z polityką, chociaż ostatnio trochę mniej.

— Jaka jest funkcja satyry w okresie szczególnych napięć, takich jak teraz — rewolucyjno-kryzyso- wych?

— Nie jestem teoretykiem. W ogóle nie jestem teoretykiem rysunku, ja się tylko rysunkiem zajmuję, ale sądzę, że jest to funkcja bardzo po- żyteczna. Pan powiedział — „napie- cia”. Sądzę, że tego rodzaju działal- ność, nie tylko rysowana, ale mówio- na, śpiewana, ma rozładowywać na- pięcia. W końcu o to chodzi. Mniej więcej.

— A w okresie stabilizacji?

— Jak sięgam pamięcią — stabili- zacji są bardzo sobie nie przypomi- nam. Sądzę, że w okresie stabiliza- cji ta funkcja jest odwrotna. Być może, gdy dookoła jest cisza, spokój, marazm, funkcją satyry jest zaostrze- nie widzenia, zaognianie pewnych spraw. Natomiast w czasie takim, jak choćby ten, który mamy obecnie, ja to odbieram osobście jako swego ro- dzaju — może to dyskredytowane określenie — wentyl. Upust dla na- pięć.

— Satyra polityczna wymaga do- brego poinformowania. Niech pan zdradzi, skąd pan bierze informacje. A może ma pan, gdzieś na wysokich szczeblach władzy, swego wielbiciela — informatora?

— W tej chwili, nawet gdyby tak było (a nie jest), to bym się nie przyznał, bo nie wiadomo, czy ten informator-wielbiciel jutro będzie miał dostęp do informacji. Ale, mó- wiąc bardziej serio, moje rysunki są głównie obyczajowe. Nie czuję się

predestynowany do objaśniania ja- kichś problemów, chodzi mi o zna- leżenie syntezy zachowań ludzkich, która stanowiłaby może punkt do okre- ślonych sytuacji. Polityka, owszem, bardzo mnie interesuje, ale staram się widzieć politykę przez warstwę obyczajowości normalnych ludzi. Dla- tego też kwestie — odniesienia do polityki, na moich rysunkach są wy- powiedziane przez ludzi chodzących po ulicy, a nie przez dygnitarzy.

— Jak pan widzi stereotyp Polaka?

— Nieszczególnie. Nieszczególny.

— Czy ten stereotyp zmienił się w ciągu ostatnich roku?

— Nie sądzę, żeby on się tak szyb- ko zmienił, z miesiąca na miesiąc. Nie zastanawiałem się zresztą nad tym. Musiałbym dłużej pomyśleć.

— Jak pan sądzi: co można sądzić o Andrzeju Mleczko po jego rysun- kach?

— Rysunki chodzą jakby swoją ścieżką i osoba autora swoją. Nie sądzę, żeby ktoś, kto na przykład pisze kryminały, musiał mieć tenden- cje zbrodnicze, zaś ktoś, kto pisze sielanki, musiał być poczciwym głu- piem. To są dwie różne sprawy i na podstawie poznania mnie trudno wy- ciągać wnioski co i jak rysuje i od- wrotnie — na podstawie choćby tej wystawy trudno wyciągnąć wnioski o mnie, o tym, jaki jestem.

— Jakie gazety pan czyta?

— Czytam dużo gazet, przy czym na każdą przeznaczam jakieś dwie, trzy minuty. Często czytam je po te- kach. Chcąc nie chcąc, przeglądam te tygodniki, w których drukuję, to znaczy Politykę, Szpilki, ITD, i tak dalej... ale, żeby ostatnio był pa- sjonatem żurnalistyki naszej, to nie powiem.

— Czy mógłby mi pan opowiedzieć ostatni rysunek, jaki pan zrobił?

— Nie pamiętam.

— Myślałem, że to było wczoraj, przedwczoraj...

— Od dziesięciu dni jestem w po- dróży. Robiłem w Warszawie sceno- grafie dla Janka Pietrzaka do kaba- retu „Pod Egidą”, a rysuję tylko w domu. Zawsze podziwiam moich ko- legów, którzy potrafią robić to nie- zależnie od miejsca. Ja muszę mieć swoje biurko, swój ołówek. Muszę się po prostu dobrze czuć.

— Ale zapewne pamięta pan ostat- ni rysunek, który nie został wydru- kowany, o który pan walczył?

— Nigdy nie walczyłem o to, aby wydrukowano mój rysunek. Byłoby to absurdalne. Zresztą praktycznie nie mam żadnych możliwości tego typu. Mieszkam w Krakowie, a wysy- lam rysunki do Warszawy, do pism drukowanych w Warszawie, czyli musiałbym jeździć do Warszawy i tam lamentować; po drugie — nie jestem awanturnikiem, taki, co to cho- dzi i chandryczy się, że mu nie wy- drukowano; a po trzecie jest to wka- kulowane w ryzyko, a jeżeli tak, to nie ma co robić z tego powodu tra- gedii.

— Niech pan spojrzy... ile osób przyszło na otwarcie pana wystawy...

— Przyszli nie dla mnie. Dla moich rysunków.

— Czy woli pan siebie, czy wlas- ne rysunki?

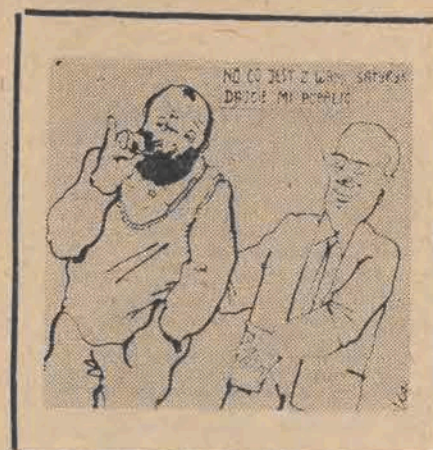
— Nie chce, by potraktował pan to, co powiem, jako coś niegrzecznego, ale — pan wybacz — to moja pry- watna sprawa.

— Dziękuję za rozmowę.

— Ja też.

Rozmawiał:
ZBIGNIEW
WOJCIECHOWSKI

Fot. R. Łucyszyn



1. Im Westen nichts Neues. Na Zachodzie bez zmian. Moją towarzyszką podróży ma być Silke, 26-letnia Holenderka, pracownica wielkiego sex-koncernu: Beate Wise. Jesteśmy umówieni w Kolonii przed Muzeum Rzymsko-Germańskim przy Zeughausstrasse o godz. 10 rano. Teraz jestem jeszcze w Norymberdze. Dochodzi północ. W nocnym, ekskluzywnym klubie „Oberbayern“ przy Humboldtstrasse gra kapela z Łodzi. Robią znakomitą muzykę. Trudno się dziwić, świetni muzycy i wokaliści, a lideruje im perkusista Jurek Wiktor, którego pokolenie łódzkich jazzfanów pamięta z „Jasnowców“ w szkole filmowej, czy też „Pod siódmkami“. Byli to łódzkie pulsujące jazzem lata sześćdziesiąte.



Przez kilka miesięcy objechałem RFN wzdłuż i wszerz, razem z ekipą organizującą między innymi serię koncertów Boba Dylana i w każdym mieście spotykałem polskie grupy muzyczne występujące w klubach i tanecznych oraz przedstawiciel agencyj, którzy zapewniali mnie, że z Polakami znakomicie się pracuje. Graham Röhl z Mainz dozwilił się tylko, że Polacy są tacy tani. On ma na przykład kontrakt na miesiąc za 18 tys. DM na 5-osobowy zespół, a polski zespół zgadza się pracować np. za 12 tys. DM. Ale polscy muzycy w lokalach Zachodu to temat odrębny, do którego chciałbym wrócić w najbliższym czasie.

Dzisiaj, dzięki pomocy Petera, dziennikarza specjalizującego się m.in. w sprawach seksu (Eine kleine Geschichte der Pornografie) oraz Silke, która przez 3 dni ma być moim przewodnikiem, mam możliwość poznania kulis produkcji snów (erotycznych) dla mężczyzn i kobiet.

O godzinie 3 w nocy wyjeżdżam z Norymbergi. Na wylotowej Tankstelle zakupy i kosmetyka samochodowa; 4 puszki Schultheiss Pils, 2 hamburgery, pełny bak benzyny (znowu zdrożała, to już drugi, albo trzeci raz w sezonie letnim), sprawdzenie opon, kaseta z Dinah Washington do samochodowego magnetofonu — i via Frankfurt i Kolonia — kierunek Düsseldorf.

Na 16 km za Koblencją wielki parking ze stacją benzynową, restauracja, WC, położony w lesie nad wodą, kilkadziesiąt metrów w bok od głównego autobahn. W łazience ciepła woda, prysznic. Zmęczenie schodzi wraz z kurzem. Odchylam się w samochodzie, koc, poduszka, zapach wakacji, trzy godziny snu.

2. Silke czeka już przed muzeum i pyta, czy nie chciałbym obejrzeć ciekawej kolekcji szkła

rymskiego. Nie chciałbym. Za 30 minut powinniśmy być w Düsseldorfie, a poza tym przez 4 dni pobytu w Norymberdze nie wychodziłem ze Starego Miasta, muzeum Dürera, Kaiserburgu (zamek cesarski z XX wieku), a po długich nocach, wypełnionych rozmowami rodaków, biegliśmy pod Frankenkirche (katedrala kościół NMP), aby w samo południe zobaczyć, jak czternastowieczny mechanizm zegarowy porusza figurki 7 elektorów składających hold Karolowi IV.

Ale Silke przestawiła się już na właściwy kanał i opowiada, jak była sekretarką planu seriali sex-filmów produkowanych przez monachijską wytwórnię w okolicach Bad Kreuznach. Akcja dzieje się w Biurze Walki z Prostytucją, którego wysłannicy (on i ona) przeprowadzają sondaże socjologiczne w sex-shopach, kinach, domach z czerwoną latarnią na drzwiach. Po kolei relacjonuje mi każdy odcinek seriali, techniczne aspekty produkcji, charakteryzuje „aktorów“...

Z nieba żar, słońce wypala lakier z samochodu, mimo szybkości wydaje się, że nie ma wiatru. Düsseldorf, jak rozpalony, gigantyczny, asfaltowo-betonowy kamień. Słońce, pot, bezruch. Ludzie, samochody i tramwaje jak na zwolnionej klatce filmowej. Ten dzień powinien mieć swoją sjęstę: zasłonięte rolety na oknach, półmrok w pokoju, wilgotne prześcieradło, wentylator przy łóżku i kilka godzin lenistwa.

3. Wchodzimy do studia nagrań. Szef studia, uśmiechnięty hanowerczyk, cytuje mi Marksa. — Für Karl Marx war die Sexualität „so

kobieta NA JEDNĄ GODZINĘ

Andrzej Józwiak

lebensnotwendig wie ein Schluck Wasser“ („...tak nieodzowny do życia jak tyk wody“).

Tego Marksa nie znam. Nie uczono nas jego poglądów na sex. Hanowerczyk szybko dorzuca polonika: wśród siedmiu filmów, które wytyczała nowe granice wiedzy o seksie jest również film Polaka, Borowczyka, „Niemoralne historie“.

— Jakże to filmy? — pytam. — „Barbarella“ Rogera Vadima, „Decameron“ Passoliniego, „Ostatnie tango w Paryżu“ Bertolucciego, „Niemoralne historie“ Borowczyka, „Emanuelle“ i „Geschichte der 0“ Tackinsa oraz „Im Reich der Sinne“ Oshimy. Ale to już koniec pogawędki, bo zaczynają się nagrania kaset, które później sprzedawane będą w każdym sklepie z gazetami, winem, colą, piwem, w tabak-shopach, na każdej stacji benzynowej, wszędzie. „Ja... komm... komm doch... gib ihn nur... noch weiter, noch tiefer. Ich liebe dich... oh... Jeetzel!“

Oczywiście cytuję najbardziej cenzuralne fragmenty. W krótkiej przerwie — aktorzy idą do bufetu — a dwie panie nagrywają kasetę dla lesbijek: „Oh, Rita keine Frau ist so wie du“. Później to samo w wersji angielskiej (you are simply first class). Starczy, uśmiechnięty hanowerczyk wychodzi z kabiny i mówi: — Jutro przegląd filmów z Marią Schneider, kopujemy fragmenty. Przjdź. „Ostatnie tango w Paryżu“, „Kochani rodzice“, „Taniec miłości“ (Dance of Love)...

Pytam o „Kalligule“, gdzie grają tej klasy aktorzy, jak: Peter O'Toole, sir John Gielgud, Hellen Mirrem, Malcolm McDowell. Umawiamy się na jutro, a Silke prowadzi mnie do sali projekcyjnej.

4. Te wszystkie „Sny młodych panienek“, „Sex-Rausch“, „Piersi — skandal w nocnym lokalu“ — to kilkaset metrów ersatu erotycznego w kolorze. Panoramiczny przód, tył, podłoga, łazienka, golenie łub w północach ciemnych, czarnych, brązowych, długie podwiązki, czy też jak to się nazywa, i cienutkie paski do północach na brzuchu. Sex-Rausch, przegląd filmów przed rozpowszechnianiem w sieci dziesiątek sal kinowych Bundesrepublik. Kobieta pierś, noga w obcisłej północach stają się symbolem światowego seksu. Dzisiaj premiera filmu „Kobieta na jedną godzinę“, w reżyserii — tak, tak! — Albana Vydra, Silke natchnęła się i mówi: „ta blondyna to Polka“. Polska Venus harcuje na ekranie aż miło popatrzeć. Przyglądam się jej robocie. Potrafi.

5. Poprzedzeni telefonem Silke jedziemy w okolicie Hauptbahnhofu na Karlstrasse. Klub zamknięty wprawdzie, ale Karin (pseudonim artystyczny naszej swojskiej Kaśki, Kryśki czy też Baśki) jest w swoim pokoiku i przygotowuje się do pracy. Lat około 24—25, tleniona blondynka, ładna, zgrabna, okrągłutka, ani cienia skrepowania. Firma, którą reprezentuje Silke, działa na Karin jak magnes. Może dodatkowy geld, fotografia w piśmie, rolka w kolorowym filmiku.

— Praca, jak każda inna — mówi Karin — zarobki wysokie. W Polsce będę damą. Tutaj bawię gości, dostaję się do stolików, dostaję procent od sprzedanego gościom alkoholu. Jeśli się uda, to barman zamieni koniak czy whisky na jakiś podobny w kolorze beżakolowy napój, udaje, że piję a potem kasuje pieniądze od barmana. Natomiast wszystkie napiwki musimy oddawać szefowi.

— Skąd jesteś? — pytam. — Nieważne. Dzieci do chrztu i tak mi trzymać nie będą. Co cię jeszcze interesuje? Chcesz wiedzieć, czy idę z... Oczywiście, że tak. To jest wielki geld, a w kraju i tak będę damą. — Dużo zarabiasz? — I tak nie uwierzysz. — Tak dużo, czy tak mało? — Dużo. Ale i tak mnie tu w konia robią — rozlała się. — Koleżanki pracują obok amerykańskiej bazy. Dwie siostry z Warszawy. Tam są kabiny, wyświetlają filmy, dziewczyny mają roboty na 10 minut i zmiana. Straszny geld...

— Rozumiem. Zgłodniały chłopcy z USA... Murzyni też?

— A co, jesteś rasistą? A wiesz, kto zarabia grube tysiące?

— Na miesiąc? — Tak. Dziewczyna z Sochaczewa. Została tu na stałe. Ogłasza się w „Strapsy“ jako „Wyrafinowana Polka“. Zdjęcie w kusym kostiumiku, czarne rękawiczki po łokcie, podwiązki, ciemne północachy, długie blond włosy. Dama. I tu Karin pokazuje ostatni numer „Strapsy“ za 14,80 DM. Czytam: „Szukam miłośników butów na wysokich obcasach (stiletto shoes), północach z szewkiem, stanika, rajcowego ubrania, mężczyzn i „lesbische Frauen“ oraz uroczych „Transvestiten“. Jestem czuła i zmysłowa. Możemy wspólnie robić zdjęcia, oglądać pisma i małżeńskie pary pożądane, wiek nie odrzuca roli. Dyskrekcja 100 proc. Chiffre BP 3334“.

Zdjęcie i tekst zajmuje prawie pół strony, a wyrafinowany, czuły i zmysłowy Sochaczew jest na 80 stronie.

— O, to jest dama — dodaje Karin. — Ta wie, że żyje.

Wychodzimy, a ja nie jestem do końca przekonany, że jest to właściwa robota dla młodej damy...

6. Wieczorem idziemy razem z Silke, Tina i Wernerem na bajeczne kolorowy, rozświetlony, bogaty w dziesiątki knajpek, kafejek, klubów, sklepików düsseldorfski Altstadt (zwany tutaj Małą Ameryką). Ładujemy w klubie jazzowym, gdzie gra dixielandowa kapela z Hollandii. Wracam do tematu wyrafinowanych Polek. Okazuje się, że w tym „przemysle“ pracuje wiele naszych dziewcząt. Przed końcem terminu ważności wizy, mają już samochody i nieźle samopoczucie. Podobno nie pracują tylko w hamburskim Sankt-Pauli, tam jest pełna profesja, a amatorzy nie są mile widziani. W dodatku amatorzy z turystyczną wizą.

Jeżeli są zgrabne, ładne, pilne i pracowite, i oprócz talentu mają dużo szczęścia, mogą zarobić dziennie ten swój całkiem dobry geld. No, chyba, że są silne kolonie tureckie, murzyńskie lub włosko-jugosłowiańskie, wtedy robią za królowe. Jeżeli sprytna dziewczyna trafia do sauny-klubu, to automatycznie awansuje. Być masażystką, to w starym kraju brzmi dumnie. W rzeczywistości jest kurwą do wszystkich, łącznie z abtelungiem dla lesbijek, które uwielbiają saunę z jej wszystkimi atrakcjami. No, cóż: fortes fortuna adjuvat, a gdyby

kiedykolwiek ktoś w starym kraju ruszył przeszłość, to zawsze można powiedzieć, że zmuszono, zabrano paszport, straszono. A te strachliwe, cudowne dziewczyny, bogate w witaminy, dla paru DM mogą zrobić wszystko: bomby, miny, karabiny, szcztoty, pedzle i drabiny, piły, pilniczki, kondomy, zapalniczki, sama pierze, sprząta, whisky pije, wie, że żyje, krawaty wiąże i usuwa ciążę. Kobiety na jedną godzinę.

7. Dixielandowa kapela gra „Body and soul“ — wernie imitują brzmienie oraz kopiuja solówki armstrongowskiej Hot-Five. W klubie nie ma już wolnych miejsc, ludzie tłoczą się w drzwiach, przystępują rytmicznie, klaszczą w dłonie, ktoś próbuje tańczyć. Nastrój, jak w klubach Nowego Orleanu. Podniecenie reakcją publiczności muzycy grają żywiołowy „Royal Garden Rag“. Silke z Tina wychodzą poprawić makijaż, a Werner daje mi mały pakietek i mówi:

— Taki mały Geschenk dla twojej Freundin. Kulki gejszy.

Nie wiem, co to jest. Werner tłumaczy:

— Silke, na przykład, potrafi przed każdym party włożyć sobie te kulki gejszy...

— Gdzie?

Pytanie profana. Zaskoczony Werner wyjaśnia mi to dokładnie i obrazowo:

— „Przez to jej chód nabiera migotania, węzłowego skrętu bioder, nieustanne podniecenie, rozszerzone źrenice, oczy błyszczą, głos dostaje erotycznej chryple... Ona jest die Ganze Zeit na sex-rauschu.“

Wpadam w lekki popłoch, już widzę zdziwione oczy mojej dziewczyny, kiedy ofiarowuję jej te kulki. Jestem bezradny i nie mogę wyjaśnić Wernerowi, że między nami a nimi są pewne różnice mentalności, etyki...

— Wiesz, Silke jest bardzo dzielna dziewczyną — pociągają dorzucza Werner — jest działaczem związkowym, bardzo aktywnym, a aktualnie zajmuje się wysyłką żywności dla artystów Warszawy.

Biorę kulki. Dam je Melonowi, który skarżył się kiedyś, że jego żonie przestały błyszczeć oczy na jego widok. Melon pokaze kulki u siebie w robocie i chłopaki będą mieć małą chwilę radości.

8. Martina i Werner pracują w dystrybucji sex-koncernu. Właśnie oprowadzali mnie po magazynach. Mechanizacja, ludzi mało, białe i niebieskie kombinony, masa dostawczych samochodów. Ten kombajn erotyki tutaj ma swoje źródło. Filmy, kasety, pisma, plakaty, gumowe lalki-kobiety naturalnej wielkości z otworami w tych miejscach, gdzie być powinny, kremy erekcyjne, buteleczki z jolimbina, „spanische fliegen“, kondomy, kolce, specjalne ubrania ze skóry, staniki, paski do północach, majteczki z otworami, wszelkiej wielkości przybory do robenia „miłości“ fizycznej, lub jej urozmaicenia, aparaty do masażu z bogatą kolekcją dodatkowych akcesoriów.

Jednym słowem: wyprzedają wszystkich seksualnych kompleksów, zahamowań, zaburzeń, wyprzedają seksu w pigułce epoki industrialnej cywilizacji ostatnich lat XX wieku.

9. Zachód uciekł nam cywilizacyjnemu, technicznemu, organizacyjnemu, ekonomicznemu i psychologicznemu. W tej jednej dziedzinie nie warto ich doganiać. Chociaż pamiętam, kiedy jako szef Łódzkiej Estrady, jakie miałem problemy z kabaretowym programem „Życie seksualne dziewczyn“. Listy z pogrózkami za deprawację młodzieży, anonimowe (jedna pani, podpisująca się — Alicja, napisała ich 14) chociaż program miał charakter polityczny, a tytuł był metaforyczny. Wracam do Norymbergi. Silke, dzielną Holenderka, piękna dziewczyna, jak z okładki kolorowych, ilustrowanych magazynów, jak również aktywny działacz związkowy, drzemie budzona co chwila światłami podążających z przeciwka aut. Kulki gejszy. Kulki Silke. To nie jest robota dla młodej damy. Mł. Wycieraczki pracują miarowo. Z radia piękny utwór Francis La i filmu „Kobieta i mężczyzna“ Le-loucha. Później wiadomości, Radio Wiesbaden podaje: W okolicach Frankfurtu i Mainz 3 tysiące polskich turystów poszukuje pracy. W Wiedniu 4 tysiące decyduje się i prosi o pozwolenie pozostania. W Düsseldorfie, z pociągu Warszawa — Paryż wysiada dziennie około 200... W Monachium, Hanowerce...

Je jest w tym kobiet na jedną godzinę, które jeszcze nie wiedzą, że nie każda robota jest dla młodych dam?

— Bedzie to, czego nie można uniknąć — przebudzona Silke cytuję Conrada. Dojeżdżamy do Kolonii.

Poza tym na Zachodzie bez zmian.

DWIE GODZINY Z BOBEM DYLANEM

1. Piszę to w St. Goarshausen (w połowie drogi między Koblencją a Wiesbaden), kilka godzin przed rozpoczęciem kolejnego koncertu Boba Dylana. „Bob Dylan in Concert“ to gigantyczne tournée po Bundesrepublik, realizowane przez Blitz Musik w Düsseldorfie. Sprzedaż biletów prowadzi Loreley Ticket-Service, zaś bezpośrednią organizację trasy objazdu (Touneeleitung) Lippman + Rau.

2. Ostatni raz oglądałem jego występ w Norymberdze w 1978 roku. Był to jego pierwszy pobyt w RFN. Do tego czasu nigdy nie chciał w Bundesrepublik występować. Twierdził publicznie, że cechy tego kraju to niesprawiedliwość społeczna, krzywdy i prześladowanie człowieka. Później zmienił zdanie. Zresztą cała jego karmiera to gwałtowne zmiany idei i niespodziewane zwroty. Zaczynał pisać protestantami przeciwko bom-

bie atomowej („Hard Rain's gonna fall“), ostrymi oskarżeniami militarystycznych tendencji, bezkompromisowymi i demaskatorskimi songami, jak np. „Master of War“, czy też „Talking World War III blues“. Pieśni te zrobiły go rzecznikiem pokolenia, reorientantem niespokojnej generacji lat 60. Później spokojnie wraz ze sławą, zgodził się i zrobił raptowny zwrot. Zaczął śpiewać religijne, mistyczne songi, ballady o miłości. Zaczynał karierę śpiewając swoje ballady tylko z akompaniamentem akustycznej gitary i ustnej harmonijki. Po kilku latach grał już na elektrycznej gitarze, rozszerzał elektroniczne instrumentarium, nie unikał akompaniamentu dużych orkiestr. Zresztą fantastyczny obrońcy folk-music mieli mu to za złe, wygizdywali go, ale takie grupy jak „Eagles“ czy „Dobie Brothers“, lub Linda Ronstadt przejęły jego koncepcję, rozszerzały ją i modernizowały. Bob Dylan — bo o nim właśnie

piszę — na koncertach w RFN robi jednak znakomitą muzykę. To nie jest show, może się to nawet nie podobać publiczności wychowanej na Beegesowsko - Boneyowsko - Abbo-wskiej gumie do żucia, ale jest tu wytworzony ekscytujący nastrój, a w bloku starych hitów znanych na całym świecie („Like a Rolling Stone“, „Can you please crawl out your Window“, „Maggie's Farm“, „Blowin' in the Wind“), czy też w typowych dla niego protestujących balladach przebiega nostalgia, zaduma, idee generacji lat 60, „studenckich rebelii“, muzyki pokolenia Nie na darmo zwano ongiś Dylana — poetą rocka. Śpiewa oczywiście, wiele nowych piosenek, ale wykonuje też swoje przeboje, jak „Baby stop crying“, „Lay Lady Lay“ i „Hurricane“.

3. Wrócił mi właśnie z Hassloch Platz, gdzie oglądaliśmy jeden z największych rozrywkowych parków, naparków Europy Holiday Park położony nad Renem między Mannheim, Ludwigshafen a drogą B 272 na Landau, to cudowne królestwo dla dużych i małych, Disneyland dla

starych i młodych, miejsce spotkań turystów odwiedzających RFN. Kilka godzin zabawy, rozrywki i relaksu. 40-letni Bob Dylan, spokojny, bezpośredni, koleżeński, jest zaprzeczeniem przysłówowych manier wielkiej gwiazdy. Zwichrzone włosy, rzadkie wąsy i broda, przyciemnione okulary. Ostatnie przygotowania do wyjazdu na koncert wielkiej legendy lat 60.

— Moją pracę dzielę na dwa okresy — mówi Dylan — przed wypadkiem samochodowym i po. (30 lipca 1966 roku Dylan miał bardzo ciężki wypadek motocyklowy — przyp. A.J.) Za kilka dni minie 15 lat od czasu tego wypadku i 13 lat od mojego powrotu na scenę. To był trudny come-back.

— Czy wypadek był przyczyną Twojego zainteresowania się tematami o charakterze religijnym? — pytam.

— Nie, to znaczy, częściowo. Wierzę w to, że wyszedłem z tego z życiem dzięki opatrności. I wtedy przygotowałem i nagrałem longplay „John Wesley Harding“. Niektórzy fani nie mogą mi tego wybaczyć, ale to był mój prywatny dług wdzięcz-

ności, a poza tym chciałem zrobić coś nowego, zwłaszcza, że w folk-bal-ladach miałem już nastawców na całym świecie...

— W Polsce również. Jakże występy najmilej wspominasz?

— No, myślę, że festiwal na wyspie Wight dla czterech milionów widzów i... — zastanawia się chwilę — ...dwa lata później występ z George Harrisonem na koncercie dla Bangladesh. Ale jestem przekonany, że najważniejszym dla mnie był mój pierwszy telewizyjny występ. Nie pozwolono mi wtedy zaśpiewać „Talking John Birch Society“. To był wielki skandal i... rozgłos. Śpiewałem w małym klubiku i byłem wówczas nikomu nieznanym śpiewakiem, jednym z wielu. — Uśmiecha się i dodaje: — Lubilem również swoją pracę w filmie „Pat Garrett i Billy Kid“. To była cudowna przygoda. Jednak to, co najmilej, jest jeszcze przede mną. Może zostanę profesorem muzyki i śpiewu — śmieje się i natychmiast wyjaśnia: — Kilka lat temu Uniwersytet w Princeton nadał mi honorowy tytuł „Doktor Muzyki“. Jak widzisz, wszystko jest jeszcze przede mną.

